

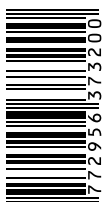
Pomorski
Magazyn
Artystyczny

WYDANIE SPECJALNE

Stow

PAWEŁ HUELLE

ISSN 2956-3739



9177295613732001

Spis treści

- | | |
|---|---|
| <p>3 Człowiek słowa</p> <p>5 To już nawet nie lament
Tadeusz Dąbrowski</p> <p>9 Flecista z Hameln
Antoni Libera</p> <p>16 W cieniu bukowego lasu
Paweł Huelle</p> | <p>20 Walka kogutów
Paweł Huelle, adaptacja Wojciech Fułek</p> <p>38 Paweł Huelle w teatr zapatrzonny
Tomasz Miłkowski</p> <p>43 Nienapisane opowieści
Leszek Biernacki</p> <p>63 Czy Paweł Huelle to klasyk?
Wojciech Fułek</p> <p>65 Tratwa szaleńców
Paweł Huelle</p> <p>72 Pamięć i czas
Wojciech Fułek</p> |
|---|---|

Redakcja składa serdeczne podziękowania za współpracę i pomoc w przygotowaniu i opracowaniu tego numeru „Słowa” następującym osobom: Leszkowi Biernackiemu, Tadeuszowi Dąbrowskiemu, Antoniemu Liberze, prof. Maciejowi Świeszewskiemu, Władysławowi Zawistowskiemu, Zenonowi Ziai. Powstanie publikacji poświęconej pamięci Pawła Huelle również wsparty: miasto Gdynia, Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego, Oliwski Ratusz Kultury, Fundacja Artystyczna Podróż Hestii, STU ERGO Hestia, ZIAJA LTD.

Na okładce strona 1 fot. Leszek J. Pękalski, strona 4 fot. Wojśław Brydak



dostępność „Słowa”

Uprzejmie zawiadamiamy, że kwartalnik „Słowo” jest dostępny **w Gdańsku** w Instytucie Kultury Miejskiej „Kunst wodny”, Targ Rakowy 11, w Filii Gdańskiej Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Mariacka 42; **w Wejherowie** w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Zamkowa 2A;

ponadto w bibliotekach Województwa Pomorskiego:

w Brusach w Centrum Kultury i Bibliotece, Dworcowa 18, **w Bytowie** w Bibliotece Miejskiej, Zamkowa 2, **w Człuchowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Szczecińska 5, **w Dziemianach** w Gminnej Bibliotece Publicznej, 8 Marca 14, **w Gdyni** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Świętojańska 141-143, **w Głównych** w Gminnym Ośrodku Kultury, Kościuszki 15 A, **w Gniewie** w Centrum Kultury i Bibliotece Publicznej, Plac Grunwaldzki 16/17, **w Helu** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Komandorska 2, **w Kartuzach** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworzec 4, **w Kwidzynie** w Bibliotece Miejsko-Powiatowej, Kościuszki 54, **w Lęborku** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Armii Krajowej 16, **w Miastku** w Bibliotece Publicznej, Dworcowa 29, **w Morzeszczynie** w Ośrodku Kultury, Kocińska 12, **w Przechlewie** Gminnej Bibliotece i Centrum Kultury, Młyńska 2, **w Pucku** w Bibliotece Publicznej, Sambora 16, **w Redzie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Derdowskiego 3, **w Skórczu** w Miejskiej i Powiatowej Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 7, **w Sopocie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Józefa Wybickiego, Goyki 1, **w Subkowach** Gminnej Bibliotece Publicznej, Józefa Wybickiego 19, **w Sztumie** w Sztumskim Centrum Kultury, Nowowiejskiego 14, **w Tuchomiu** w Bibliotece Publicznej, Jana III Sobieskiego 18, **w Wejherowie** w Miejskiej Bibliotece Publicznej, Kaszubska 14, **w Wejherowie** w Powiatowej Bibliotece Publicznej, Dworcowa 7.

Redaguje zespół: Jacek Borzych, Wojśław Brydak, Wojciech Fułek (redaktor naczelny), Katarzyna Korczak (sekretarz redakcji)

Współpracują: Wojciech Boros, Olga Kubińska, Tomasz Miłkowski, Leszek J. Pękalski, Dorota Sobieniecka, Zofia Watrak, Michał Zabłocki, Małgorzata Żerwe

Projekt graficzny: Paweł Pacholec

Wydawca: Jacek Borzych – Stowarzyszenie na rzecz Edukacji Filmowej, Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk

E-mail: stowedufilm@gmail.com • tel. +48 58 308 43 40

Drukarnia: Bernardinum Sp. z o.o., ul. Biskupa Dominika 11, 83-130 Pelplin



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

ERGO
HESTIA



Patronat



Mecenas

Partnerzy

Województwo i Miejska Biblioteka Publiczna im. Józefa Conrada-Korzeniowskiego w Gdańsku

Fundacja Artystyczna Podróż Hestii

Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie



Człowiek słowa

Paweł Huelle (1957–2023)



Zdjęcie z 9 grudnia 2022 | fot. Grzegorz Mehring /dzięki uprzejmości www.gdansk.pl

Oddajemy do rąk Czytelników numer wyjątkowy, po raz pierwszy w historii naszego pisma poświęcony wyłącznie jednemu autorowi. To twórca wybitny, którego – nie tylko nam – dotkliwie dziś brakuje. Tym, którzy znali go bliżej, będzie z pewnością brakować niespodziewanych nocnych telefonów i długich rozmów, pełnych – nigdy nie napisanych, ale za to świetnie opowiadanych – historii. Tym, którzy poznali go tylko jako pisarza, będzie z kolei brakować jego kolejnych książek, dramatów, wierszy czy esejów. Dlatego – by podtrzymać pamięć o pisarzu – przygotowaliśmy wydanie specjalne „Słowa”. Zamieszczamy w nim nie tylko teksty poświęcone twórczości Pawła Huelle, nie tylko kilka materiałów zamieszczonych już wcześniej, nie tylko

adaptację jednego z jego opowiadań dla teatru radiowego, ale też wspomnienia, które przypominają człowieka i jego drogę, od szeregowego działacza opozycyjnego, poprzez redaktora Studenckiej Oficyny Wydawniczej Alma-Press, wykładowcę akademickiego, dyrektora gdańskiego ośrodka TVP, konsultanta literackiego Sopockiej Pracowni Badań Społecznych, współpracownika Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie aż po redaktora naczelnego „Blizy”, kierownika literackiego, a następnie dramaturga Teatru Miejskiego im. Witolda Gombrowicza w Gdyni. To wciąż jeden i ten sam człowiek – błyskotliwy erudyta, znawca muzyki i malarstwa, a nade wszystko – człowiek słowa – pisanego i mówionego. Słowa, które ocala.

Redakcja

***** [te dni nie należą już do mnie...]**

te dni nie należą już do mnie
są tylko przedmioty w pustej przestrzeni
która nie pociesza

serce bije jak dotąd
ale to złudzenie pióro
zegarek kartka papieru
obracają się w słabym świetle
nikną kształty zagubiony obrys

na zewnątrz świat
pusty jak łupina orzecha
w mętnej kałuży rozplaszczony
kopytem dręczonego konia

Paweł Huelle

To już nawet nie lament

Tadeusz Dąbrowski

Paweł Huelle, mieszkający przez całe życie w Gdańsku i tam zmarły w listopadzie 2023 roku prozaik i dramaturg, od zawsze pisał wiersze. Choć poezja nie była nigdy głównym nurtem jego twórczości, raczej podziemną rzeką, z której czerpały korzenie jego narracji, by umożliwić wzrost takim dębom polskiej prozy, jak *Weiser Dawidek*, *Opowiadania na czas przeprowadzki* czy *Castorp*.



Podczas klubowej imprezy z Robertem Makłowiczem | fot. Leszek J. Pękalski

W wierszu ***[*te dni nie należą już do mnie...*] nie ma osoby. To już nawet nie lament, ale bezradna konstatacja człowieka, który odchodzi, a w jakimś głębszym, duchowym sensie – już odszedł i teraz z zewnątrz, z daleka, obserwuje pogrążony w entropii świat.

Arcydziełami wśród „wierszy na odejście” lub „po odejściu” są *Liryki lozańskie* Adama Mickiewicza, pierwszoklaszowca w polskiej poezji, a zwłaszcza trzy z nich: *Nad wodą wielką i czystą...*, *Polaty się łzy...* i *Snuć miłość...*, pierwszy bardziej egzystencjalny, drugi – kosmiczny, mistyczny,

całkowicie uwolniony od autora, ostatni zaś – programowy i zarazem proroczy, pokazujący niejako „na żywo” poezję kapitulującą przed potęgą miłości.

W tej tradycji sytuuje się krótki, pisany na wydechu, wiersz Pawła Huellego. Sytuuje się mimowolnie, niejako przy okazji, nie zaś dlatego, że go poeta celowo umieszcza w tym kontekście i towarzystwie; niech mi państwo uwierzą: takie wiersze powstają z przymusu, z konieczności, rzadko z myślą o odbiorcy i niekoniecznie w bibliotece.

Bohater Pawła Huellego patrzy na przedmioty znajdujące

się w jego pokoju, w miejscu pracy, przy biurku tak, jak kosmonauta ogląda lewitujące w przestrzeni szczątki rozbitego satelity – kosmiczne śmieci, odgrywane w próżni swój leniwy taniec. Pomiędzy przedmiotami w „pustej – jak czytamy – przestrzeni / która nie pociesza” nie ma już żadnego związku. Tak jakby wraz z odchodzeniem człowieka, ich niedawnego właściciela i zarządcy, ztracały swoją funkcję, celowość, tożsamość, swoje p r z e - z n a c z e - n i e , stając się kawałkami abstrakcyjnej materii. Czystymi fenomenami. Ten bezsensowny marazm świetnie oddaje rozluźniona, eliptyczna składnia, która niczego nie zamierza już spinać. Podobnie abstrakcyjnym wydaje się sam sobie bohater tego wiersza, skoro powiada: „serce bije jak dotąd / ale to złudzenie”. Nie jest zresztą pewne, o czyje serce tutaj chodzi, człowieka czy może świata.

Świat pozostał na zewnątrz, „pusty jak łupina orzecha / w mętnej kałuży rozpuszczony / kopytem dręczonego konia”. Łupina orzecha oznacza nie tylko kruchość, ale także brak. Brak tego, co było wewnątrz: mięszu, jądra, sedna. Jeżeli orzech był włoski, łatwo o skojarzenie z mózgiem. Łupina symbolizowałaby wówczas świat, z którego wyjęto mózg, świat pozbawiony idei, sensu, racji bytu. Orzech włoski bez środka: cywilizacja tacińska, po której pozostała pusta skorupa czaszki.

Łupina jest na dodatek pęknięta, zanurzona w brudnej wodzie, zdeptana „kopytem udręczonego konia”. Ów koń udręczony to oczywista aluzja do ważnego epizodu z życia Fryderyka Nietzschego. Legenda głosi, że autor *Woli mocy*, widząc na ulicy w Turynie konia okładanego batem przez woźnicę, przypadł do zwierzęcia, objął je za szyję i zaniósł się płaczem. Od tego momentu jego – i tak już nadszarpnięte – zdrowie psychiczne znacznie się pogorszyło, zdia-

gnozowano u niego demencję, kolejnych kilka lat spędził w sanatorium w Bazylei, stopniowo zanikały jego zdolności poznawcze, z nikim się nie kontaktował i nic już nie napisał. Płacz Nietzschego nad losem konia, a być może i losem własnym, można interpretować jako akt kapitulacji nadczłowieka wobec cierpienia, jako klęskę intelektualnego projektu życia „poza dobrem i złem”, jako kompromitację „woli mocy”, którą w tej konkretnej ulicznej scenie uosabiać mógł tylko woźnica. Może ta – pozał się Boże – materializacja filozoficznego projektu w postaci żywej metafory dała Fryderykowi Nietzschego do myślenia i zarazem kazała oszaleć?

Utwór Pawła Huellego to nie tylko zapis zrywania więzi ze światem, uwalniania się od poezji, to także gorzkie świadectwo wystawione późnej nowoczesności z jej ślepych zaułkami myśli, uzurpacjami rozumu, racjonalnością, która – pozbawiona metafizycznej podszewki – obróciła się w swoje przeciwieństwo.

***[*te dni nie należą już do mnie...*] to bardzo liryczny wiersz o umieraniu pisarza i jego epoki, a zarazem zawołany hymn czułości i współ-czucia, być może nawet „negatywowa” pieśń miłości jako... woli mocy, o której Mickiewicz napisał w Lozannie:

Stąd będzie naprzód moc twa, jak moc przyrodzenia,
A potem będzie moc twa, jako moc żywiołów,
A potem będzie moc twa, jako moc krzewienia,
Potem jak ludzi, potem jako moc aniołów,
A w końcu będzie jako moc Stwórcy stworzenia.

Tadeusz Dąbrowski

” Czym jest szczęście? Ten filozof Schopenhauer, mówi, że szczęście to jest brak odczuwania bólu. Czyli, że wystarczy nie czuć cierpienia. Nieprawda. Można nie odczuwać bólu i wcale nie być szczęśliwym. To jest jak natchnienie. Nagle niespodziewanie niemożliwe staje się możliwe. Otrzymujesz od życia coś, o czym wcześniej nie miałeś pojęcia, że istnieje.

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*

” Są takie zdania, zrozumiałe niby i oczywiste, które przy odrobinie uwagi stają się nagle pełne niejasności, diabelnie powikłane, a w końcu całkiem nie do pojęcia – zdania wypowiedziane przez różne osoby, które przypominamy sobie niespodziewanie i które nie dają nam wówczas spokoju.

Paweł Huelle, *Weiser Dawidek*





Flecista z Hameln *

Pamięci Pawła Huellego

Antoni Libera

Rozstawszy się z A², zastanawiałem się, czy moje opowieści naprawdę go zajmują, czy też słucha ich tylko z koleżeńskiej grzeczności – niejako w rewanżu za to, że wcześniej, przez trzy sezony, głównie ja go słuchałem i przyjmowałem bezwolnie wszystko, co proponował.

Nie było to dla mnie jasne. Chwilami zdawało mi się, że słucha mnie mechanicznie; że po prostu cierpliwie daje mi się wygadać. Były jednak też chwile, zwłaszcza pod koniec „sesji”, kiedy miałem wrażenie, że słucha nie tylko z uwagą, ale z zapartym tchem, a po skończonym „kazaniu”, jak nazywał te gadki, był jakby zaczadzony, a w każdym razie wybity z jakichś swoich kolein, którymi od lat podążał i gdzie się czuł bezpiecznie, nawet jeśli czasami zdarzały się tam przeszkody lub ryzykowne zakręty (jak choćby nie tak dawny upadek modelarni). I pochlebając sobie, że oto wbrew obawom udaje mi się w nim wzbudzić wyraźne zainteresowanie, a nawet w jakiejś mierze zaczarować go słowem, kwestionowałem zarazem sens tych moich popisów. Po co właściwie to robię, zastanawiałem się. Czy aby nie z próżności? By mu zaimponować wiedzą i elokwencją? Jeśli go nawet wciągają te moje historyjki, to na co mu ta wiedza? Przecież robi mu ona jedynie zamęt w głowie. Zatrzuwa go mrzonkami o jakimś magicznym świetle, który dla zwykłych ludzi, choćby i uzdolnionych w jakiejś przydatnej dziedzinie, nie jest jednak dostępny. To może wpędzić w kompleksy i zniechęcić do życia.

Chociaż właściwie dlaczego odmawiać sobie tego? Jeśli nasze relacje na tym nowym etapie mają być autentyczne, a nie zafałszowane ogłębłą ustępstwem, powinno się mieć swobodę i robić, co się podoba, zwłaszcza gdy owo działanie sprowadza się do mówienia.

Niemniej, by się przekonać, czy A² na pewno zagustował w tych gadkach, którymi go karmiłem, czy jednak to urzeczenie, jakiemu zdawał się ulec, było tylko chwilowe i szybko przeminęło, postanowiłem czekać, aż sam upomni się o nie. – Nie będę się z tym narzucał, myślałem, spacerując samotnie brzegiem morza. Jeśli nie wróci do tego

i nie poprosi o więcej, nie będę go tym raczył. To musi być dobrowolne, nie można do tego zmuszać.

I znowu się okazałem człowiekiem małej wiary. A² nie tylko wrócił do ostatniego „kazania”, ale oświadczył również, że skoro następna „lekcja” ma dotyczyć Wagnera, to przygotował się do niej i przestuchał uważnie ową płytę z wyborem jego najlepszych kawałków, kupioną u pana Czesia. I zanim przejdę do rzeczy, chce mi zawczasu przedstawić swoją „listę przebojów”.

Otóż najwyżej stawia „genialny” *Cwał Walkirii*. Wystuchał go już trzy razy i ciągle nie ma dosyć. To jest naprawdę „rewelka” i nie ma konkurencji. Gdyby wcześniej to znał, poprosiłby PŻM, by na jego pokazie pływającego frachtowca puszczono to z megafonów. To by dopiero było!

– Wyobraź sobie tylko! Cwałujące Walkirie i te słalomy po wodzie! Ludzie by oszaleli!

Na drugim miejscu się znalazł początek *Złota Renu*. Chociaż wstęp jest rozwlekły i momentami „przynudza”, to jednak trzeba przyznać, że pomysł rozwijania tej tajemniczej muzyki dosłownie z jednej nuty robi ogromne wrażenie. To wolne narastanie jest wprost niesamowite!

Domyśla się oczywiście, że chodzi tu o rzekę, która wypływa ze źródła jako wąziutki strumyk, po czym przeradza się z wolna w potężny, szeroki ciek wodny. Ale on w tym wypadku ma inne skojarzenia. Dla niego ta uwertura to narodziny wszechświata, powstanie czegoś z niczego, geometryczny punkt przemieniający się w przestrzeń; powstawanie materii, cząstek elementarnych, łączyących się następnie w atomy i molekuły.

Następnie uwertura do opery *Tannhäuser*. Znakomity początek, czyli ten pierwszy temat na instrumentach dętych, który stopniowo narasta, aż w końcu grzmi i króluje na tle jakby strug deszczu albo podmuchów wiatru. Centralna część „nieco słabsza”: przesadnie „wesołkowata”, to znów nazbyt podniosła. Ale w sumie „w porządku”, zwłaszcza potężny finał „kończący się w nieskończoność”.

Dalej, na czwartym miejscu *ex equo* dwa różne marsze: weselny z *Lohengrina* i żałobny – „upiorny” – z mrocznego *Zmierzchu bogów*.

* Rozdział większej całości pt. *Opowieść życia* rozpoczętej w reakcji na przedwczesną śmierć Pawła Huellego – dla upamiętnienia naszej przyjaźni i z intencją aluzyjnego nawiązywania do rozmaitych motywów jego twórczości oraz do wielu rozmów w różnych punktach świata. Kryptonim bohatera „A²” należy czytać jako „A kwadrat”.

Choć nie znosi patosu i podniosłego nastroju, nie może jednak nie przyznać, że atmosfera grozy, jaką stwarzają „bębny” i instrumenty dęte w tym marszu pogrzebowym, jest tak przytłaczająca, że ciarki chodzą po plecach. *Marsz żałobny* Chopina przy tej strasznej muzyce to „kaszka manna z mlekiem”. Zdumiewające jest to, że słysząc tu, z jednej strony, jakiś upiorny strach i przerażenie śmiercią, a z drugiej jakby jej kult, niemalże fascynacja. Trudno to czasem znieść, ale trzyma w napięciu.

Natomiast marsz weselny, chociaż z natury rzeczy naiwny i krzykliwy, ma „przyjemną” harmonię i łatwo wpada w ucho. Sam nie wie, który lepszy – ten czy ten Mendelsohna, który grają na ślubach – bo ten jest „głupkowaty”, a tamten osłuchany.

Listę przebojów zamyka preludium do *Tristana*.

Przykro mu, lecz ten ustęp najmniej mu przypadł do gustu. Owszem, przeczytał komentarz na kopercie do płyty i wie, że to arcydzieło, ale nie bardzo rozumie, o co właściwie chodzi z tym tristanowskim akordem. Dlaczego się go uznaje za takie „objawienie”? Czyż się różni od innych, też przecież pięknych współbrzmień? A poza tym... no cóż, nie przepada specjalnie za tematyką miłosną. Musiał zaliczyć w szkole *Tristana i Izoldę* i bardzo go to nużyło. Takie cklive historie to jednak nie dla niego.

– *Tannhäuser* i *Lohengrin* to też dramaty miłosne – powiadomiłem A², skrywając rozbawienie jego sztubackim językiem.

– Na szczęście nic o tym nie wiem. Z tytułów to nie wynika. A teraz, jeśli chcesz, możemy się przejechać do Opery w Sopocie i tam, na Łysej Górze, opowiesz mi tę historię o szczurołapie z Hameln.

– Czemu na Łysej Górze? – spytałem zaciekawiony.

– Bo tam jest fajny klimat. I dwa kroki do celu. Więc jak, jedziemy czy nie?

– Oczywiście, nie słyszysz? – uniosłem palec w górę, jak gdyby rzeczywiście doszło coś do moich uszu.

– Niby co? – dał się nabrać.

– Głos fletu. Wzywa nas.

Zaśmiał się pobłażliwie i wzruszył ramionami.

Jechaliśmy w milczeniu, a ja się zastanawiałem, od czego zacząć tę bajkę, by wszystko było w niej jasne.

– Tym razem cofnij się w czasie już nie sto lat, jak poprzednio, ale blisko siedemset – otworzyłem opowieść, gdyśmy po krótkiej wspinaczce dotarli na Łysą Górę i siedli na łąweczce na rozległej polanie zamkniętej z wszystkich stron lasem (jakby w jakiejś enklawie służącej na kwarantannę).

– Trzynasty, czternasty wiek. Korona średniowiecza. Czasy wypraw krzyżowych, a także licznych plag, przywlekanych na ogół przez Tatarów ze wschodu, i migracji grup ludzkich powodowanych strachem przed skutkami zarazy.

Tatarzy, świadomi tego, że są nosicielami dziesiątkującej choroby, walczyli z miastami w Europie, katapultując do nich trupy swoich wojaków. Mieszkańcy, chociaż wiedzieli, że zwłoki są zakażone, musieli je jednak usuwać i tak się zarażali.

Główną metodą walki z tą zabójczą chorobą była ucieczka z murów – bądź na zawsze gdzie indziej, bądź na okres przejściowy trwający czterdzieści dni (stąd termin kwarantanna). Najstojniejsze świadectwo takiego prewatorium dał włoski pisarz Boccaccio w swoim *Dekameronie*. Ale to inna historia.

My kierujemy wzrok na małe miasteczko Hameln – w Niemczech, w Dolnej Saksonii – gdzie w roku 1284, w wyniku epidemii, prawdopodobnie dżumy, zmarło ponad sto dzieci. Ich zbiorową mogiłę – w zboczach pobliskiej góry nazywanej Kalwarią (było to miejsce straceń) – odkryto sto lat później, zresztą w okolicznościach niemalże identycznych, gdy znów szalała zaraza. Otóż pośród szkieletów osobników nieletnich był jeden dorosłego, prawdopodobnie „lekarza”, a przy tym przewodnika, bo znaleziono przy nim metalową piszczałkę, którą ostrzegał ludzi, by się do nich nie zbliżać. Wszystko wskazuje na to, że prowadził tę grupę właśnie na kwarantannę. Ale ponieważ niektórzy byli już zarażeni, wkrótce wszyscy umarli.

W najdawniejszych przekazach o szalejących plagach nie występują szczury. Pojawiają się one dopiero w XVI wieku, bo wtedy dopiero odkryto, że i one przenoszą zarazki

” Bernatka w białej sukience i czarnych lśniących bucikach, która czeka ze złożonymi dłońmi na srogi wyrok pośród maków, koniczyzny, dziewanny, rumianków i dzikiej lawendy. Tak by to miało wyglądać? Nadchodzą posłańcy czeluści i prowadzą dziewczynkę tam, gdzie kotły ze smołą, różna, paleniska, haki do szarpania członków, pętle do rwania włosów, szpile do wbijania pod paznokcie, wycie i płacz skazanych. Ale wcześniej odarcie do naga. Taką powiodą dziewczynkę: sparaliżowaną strachem. Nikt nie powie, na czym polega jej wina.

Paweł Huelle, Talita



Od lewej Maria Targońska, Jerzy Krechowicz, Paweł Huelle | fot. Witold Węgrzyn

zakaźnych chorób i są ich pierwszym zwiastunem. I wtedy właśnie powstał pierwowzór tej legendy. Po prostu połączono mgliste wypadki z Hameln sprzed blisko trzystu lat ze złowrogim obrazem rozzuchwalonych szczurów wkraczających do miasta i z tych dwóch elementów stworzono moralitet. A mianowicie że szczury, które niosą zarazę, to kara boska za grzechy i jeśli chce się jakoś oddalić ją lub złagodzić, należy wyrzec się zła i odbyć solidną pokutę, czyli prawdziwie poświęcić takie czy inne dobro. Natomiast jeśli w tym celu stosuje się jakiś fortel, by wykpić się z zagrożenia, to słono się za to płaci, a w każdym razie drożej. Pomysł takiego fortelu podsunął szkielet z pieszczatką. To on się stał pierwowzorem postaci szczurołapa, chociaż w rzeczywistości nie miał z nim nic wspólnego. Otóż zrobiono z niego... posłańca nieczystych sił, swoistego oszusta, a raczej czarownika, który cudowną melodią wywodzi szczury z miasta, ale potrafi nią również uwieść i zgubić ludzi. A zatem już sam kontakt z tego rodzaju magiem, nie mówiąc o korzystaniu z jego dwuznacznych usług, jest czymś co najmniej wątpliwym, jeśli nie karygodnym. Ale ludowi bajarze, czyli faktyczni autorzy tej dziwnej opowieści, postanowili „odkazić” postać maga-flecy i w końcu zrobili z niego nie szemranego grajka o demonicznych zdolnościach, lecz raczej cudotwórcę będącego też sędzią, który bada grzeszników, czy zachowali w sobie choć krztynę przyzwoitości, a więc czy zasługują, aby im w ogóle pomóc. A uczynili to tak, że odeszli od wersji, w której szczurołap od razu, wywodząc gryzonie z miasta, wywodzi z niego też

dzieci, na rzecz takiej, gdzie najpierw, zgodnie z przyjętą umową, wywodzi tylko szczury, a dzieci wywabia z domów, dopiero kiedy miasto odmawia mu zapłaty.

W takiej właśnie postaci to pradawne podanie przetrwało do naszych czasów, to znaczy do początku XIX wieku, kiedy to z jednej strony nauki oświecenia, a z drugiej duch romantyzmu kazały takie legendy utrzymywać na papierze, nadając im zarazem formę dzieł literackich. Temat ten wziął na warsztat nawet sam „boski” Goethe, pisząc króciutki wierszyk pod tytułem *Szczurołap*. Lecz najśtywniejsze ujęcie tego starego podania stworzyli bracia Grimm, głośni pisarze-uczeni, kronikarze folkloru, których *Baśnie dla dzieci* i *Niemieckie podania* czytane są do dzisiaj, i to na całym świecie, bo przełożono je z czasem prawie na wszystkie języki.

Otóż pierwsze wydanie owych niemieckich klechd ukazało się w roku 1816. Można rzec: w samą porę, bo Wagner w tym momencie liczył sobie trzy lata i już niedługo miał zacząć sam czytać i poznawać opowieści o świecie. Nie będę się teraz wdawał w historię jego rodziny, a zwłaszcza w niejasną kwestię, kto go naprawdę spłodził, bo jest to temat rzeka. Wystarczy, jeśli powiem, że wzrastał od wczesnych lat wśród ludzi wykształconych i utalentowanych, oddanych bez reszty sztuce. Najstarszy brat był śpiewakiem, aktorem i reżyserem, brat matki – literatem, a ojczym (albo ojciec?) – malarzem i poetą. W domu muzykowano i goszczono artystów (między innymi Webera, znanego kompozytora), toczono wznieśłe rozmowy, recytowano wiersze. Tak więc

Wagner nim jeszcze poszedł do pierwszej klasy, nasłuchiwał się już wielu mitycznych opowieści i znał je prawie na pamięć. A wśród nich oczywiście legendę o szczurołapie. W ogóle w tym okresie bardziej go zajmowała poezja niż muzyka. Był pożeraczem książek, czytał jedną za drugą. Mity greckie, romanse, poematy rycerskie, opowieści gotyckie o starych zamkach i duchach – wszystko to chłonał łączywie z wypiekami na twarzy. W wieku piętnastu lat zapoznał się z całym dorobkiem słynnego E.T.A. Hoffmanna, kompozytora, pisarza, a także rysownika – prekursora horrorów i opowieści grozy (który, nawiasem mówiąc, pół życia spędził w Polsce i był jej sprzymierzeńcem). Oczarowany jego niesamowitym pisarstwem, napisał wtedy swą pierwszą pięcioaktową tragedię, o której myślał z czasem jako o tekście opery.

W ogóle Wagner był dzieckiem, czy może raczej młodzieńcem, piekielnie uzdolnionym – niezwykle bystrym i szybkim. Wszystkiego uczył się sam, nawet zasad muzyki i podstaw kompozycji. Przepisywał w tym celu partytury klasyków i ćwiczył się w sporządzaniu wyciągów fortepianowych. Mając szesnaście lat, skomponował swe pierwsze, całkiem zmyślne utwory: sonatę na fortepian i trudny kwartet skrzypcowy. Niestety obie te rzeczy, jak zresztą i kilka innych z tej chłopięcej epoki, przepadły jak kamień w wodę, bo nie troszczył się o nie – traktował wszystko lekko, zmieniając ciągle miejsca i wiodąc swobodne życie. Ustatkował się nieco dopiero w naszym wieku, gdy zaczął regularnie studiować kompozycję na akademii w Lipsku, ale nawet i wówczas pogubił wiele rzeczy (jak choćby dwie uwertury do dramatów Schillera, pisząc je jedna po drugiej). Była to rzeczywiście niebywała erupcja samorodnego talentu. W ciągu bodajże roku ten dziewiętnastolatek stworzył co najmniej dziesięć różnorodnych opusów: symfonię i sonatę, pieśni do tekstów Goethego, a nade wszystko cztery pokazne uwertury, w tym jedną tylko szkicowo, do opery *Polonia*, której centralną postacią miał być Tadeusz Kościuszko. (Wagner był entuzjastą polskich zrywów powstańczych). Nie napisał jej jednak, choć miał gotowe libretto. To zresztą dość typowe dla jego temperamentu, zwłaszcza w tamtym okresie: zapalać się do czegoś, szkicować, ale nie kończyć, gonić wciąż za czymś innym; wciąż zmieniając kierunki ga-

lopującej weny, wciąż wynajdując sobie coraz to nowe cele. Tak było między innymi podczas pobytu w Wiedniu w trzydziestym drugim roku. Otóż spędzając w tym mieście kilka letnich tygodni, nasz dziewiętnastoletni faworyt Polihymnii obejrzał w tamtejszym teatrze modną wówczas operę Ferdynanda Hérolda o wdzięcznym tytule *Zampa albo Wybranka z marmuru* i wyszedł z niej pod wrażeniem.

Każdego, kto zna ten tytuł, zdziwi na pewno fakt, że taki melodramat z elementami kiczu mógł działać na Wagnera, a wręcz go inspirować. A jednak nie jest to dziwne, bo skądinąd wiadomo, że czasem rzeczy błahe albo bardzo poślednie potrafią zapładniać geniuszy do tworzenia arcydzieł. Dziwić może najwyżej, że motyw posągu z kamienia, który wkracza do akcji – znany powszechnie z Mozarta, a jeszcze wcześniej z Moliera – zainspirował Wagnera akurat w tym utworze. Któż jednak zna mechanizmy i meandry natchnienia! Kto wie, jak przebiegają skojarzenia artystów i jak się rodzą w ich głowach zdumiewające pomysły!

Ale stop, po kolei. Co Wagner zobaczył na scenie?

Otóż najpierw był świadkiem, jak posąg eks-kochanki tytułowego Zampy, podle przez niego zdradzonej, wzbrania mu dojść do ołtarza, przed którym chce on poślubić następną narzeczoną; a potem jak go chwyta niby w miłosny uścisk i porywa w zaświaty, kiedy ten w desperacji próbuje osiąść wybranekę bez dopełnienia ślubu.

Jak widać, rzadka brednia. Trudniej o coś głupszego. Ale percepcja Wagnera odbiera wszystko inaczej. Odrzuca kicz i bzdurę, a wyławia z materii przedstawionego świata tylko to, co ma wartość dla jego wyobraźni. Tym czymś jest w danym wypadku element cudowności: magia, nieziemska siła, nadprzyrodzona moc. I pobudzony umysł zaczyna szukać ujścia dla potrzeby wyrazu.

Jak wykorzystać w operze element cudowności? Jakiego nośnika użyć, aby uzyskać efekt? Co by to mogło być? – Ależ tak, oczywiście! To sama magia dźwięków, czyli czysta muzyka, która z natury rzeczy ma w sobie coś nieziemskiego! I natychmiast olśnienie: klechda o szczurołapie! Pamiętny flecista z Hameln! Czyż to nie świetny koncept, a przy okazji i tytuł? W dodatku jak głęboko tkwiący w niemieckiej tradycji, a także w historii muzyki! Przecież to wprost nawiązuje do *Czarodziejskiego fletu*! Ach, zmierzyć się z samym

”

Cywilizacja nasza dawno już zbłądziła. Odkąd wybrano wódę, znaczy się alkohol, jesteśmy pod kreską. Konopie były znane wszędzie. (...) Odkąd nastała władza producentów alkoholi, cannabis stała się wyklęta (...) Nasze prastare obrzędy, modlitwy, obyczaje wiązały się z cannabis nie z alkoholem.

Paweł Huelle, *Ostatnia wieczerza*



Wieczór autorski poświęcony książce Pawła Huelle i Marka Wittbrota *Rozmowy nad Motławą, Sekwaną i Wezerą* | fot. Węgrzyn

Mozartem u progu własnej kariery! Napisać „narkotyczną”, odurzającą melodię, która wywabia szczury, a zaraz dalej drugą, jeszcze bardziej „syrenią”, która upaja ludzi i wiedzie ich do zguby.

I młodociany geniusz, jak zwykle w takich razach, rzuca wszystko z dnia na dzień, chwytając za papier i pióro i zaczyna szkicować początek przyszłej opery.

W szkole mówiono nam, że istnieją dwie wersje tej mitycznej historii. Jedna powiada, że Wagner roztrwoniał cały pomysł, gadając o nim w kółko po kawiarniach i klubach, aż w końcu nic nie napisał. Wedle drugiej natomiast miał jednak stworzyć kawałek – trzy początkowe sceny: pierwszą, przedstawiającą inwazję szczurów na miasto; drugą, ukazującą, jak radni wynajmują szczurołapa-fleciście, który za tysiąc dukatów ma wyprowadzić gryzonie i utopić je w rzece; i wreszcie trzecią – kluczową – gdy ten cudowną melodią wywabia najpierw szczury, a potem, wykpiony przez radnych i oddalony z kwitkiem, mści się na nich okrutnie, wywodząc z miasta dzieci – tym razem za pomocą jeszcze piękniejszej melodii wygrywanej na flecie.

Podobno zwłaszcza ta druga była niesamowita i zniewalała słuchaczy – przynajmniej według kilku unikalnych szczęściarzy, którym Wagner ją zagrał w przypiływie dobrego humoru. Mówiono, że była ona jakoś tak zapętlona, że nigdy się nie kończyła, tylko wciąż odnawiała, być może w podobny sposób, jak dzieje się to w *Cwale*. W każdym razie w tej frazie wzniósł się jakoby na szczyty swojej inwencji twórczej: miał stworzyć „boski zew” porażający człowieka. Podobno... być może... jakoby... Bo jednak dowodu nie

ma. Jeżeli Wagner naprawdę napisał ten kawałek i ową anielską muzykę (tę „niekończącą się frazę”, jak zwali to muzycy), to swoim zgubnym zwyczajem zapodział gdzieś rękopis i zaprzepaścił wszystko! Jak Fermat – „prosty” dowód swojego wielkiego twierdzenia; jak spadkobiercy Bacha – jego natchnione kantaty (tylko częściowo zbawione przez Mendelsohna w Berlinie); jak Klara, Joachim i Brahms – *Koncert skrzypcowy* Schumanna na osiemdziesiąt lat.

Profesor historii muzyki, widząc po naszych minach, jak przeżywamy tę stratę, pocieszał nas argumentem, że gdyby Wagner nawet nie zgubił rękopisu, to wiele wskazuje na to, że jednak zarzuciłby pracę i nie skończył opery, bo w całym jej zamyśle pociągała go głównie, jeżeli nie wyłącznie, owa boska melodia, którą czarodziej-fleciśta uwodzi szczury i dzieci. Dalszy ciąg tej legendy mało go już obchodził. A więc jeżeli jest prawdą, że dopiął tego celu, to spełnił właściwie wszystko, na czym mu zależało, i nie miał motywacji, aby ciągnąć to dalej.

Opowieść profesora wzbudziła oczywiście ogromną falę domysłów, spekulacji i marzeń. Co stało się z rękopisem? Dlaczego Wagner go „posiał”? Lecz nade wszystko jak brzmiała czarodziejska melodia? W jakiej była tonacji i na czym polegało owo jej zapętlenie?

Przeglrywaliśmy sobie temat *Cwału Walkirii*, szukając w nim recepty na pomysł genialnej frazy. Lecz wychodziliśmy z tego tylko zrezygnowani. Bo ta figura Wagnera oparta na przewrocie trójdźwięku molowego i przechodzeniu w durowy, a potem znów w molowy, była w istocie tak

prosta, że wręcz nie chciało się wierzyć, iż nikt na to nie wpadł wcześniej.

„Genialność tkwi w prostocie – tłumaczył nam profesor. – W jakiejś oczywistości. Trzeba ją tylko dostrzec, a właściwie usłyszeć. Kto to robi, ten wygra. A inni... niech szukają «zaginionego zwoju» z wyjaśnieniem zagadki. Znalazca w jakiejś mierze też będzie nagrodzony”.

Któż nie marzył, by odkryć mityczny rękopis Wagnera! Zresztą nie tylko u nas. Wszędzie, na całym świecie, gdzie tylko uczono muzyki i wpajano do głów biografie artystów i losy ich dorobku. To było skryte pragnienie wielu pokoleń studentów i ludzi owładniętych miłością i kultem sztuki. Wyobrażano sobie tajemnicze piwnice lub zakurzone strychy, gdzie wśród różnych rupieci stoi, rzecz jasna, stary, zamknięty na kłódkę kufer (taki jak ten Joachima z jego *souwenirami*), a w nim – na dnie oczywiście – plik nutowego papieru z początkiem *Flecisty z Hameln*... Lub zapomniane zakątki archiwów i księgozbiorów, gdzie z rozmaitych powodów przez lata nikt nie zaglądał i nie badał zasobów... Lub wreszcie na straganie jakiegoś bukinisty, który nie wie, co ma... O tak, któż z melomanów i paziów królowej sztuk nie chciał być Mendelsohmem jako zbawcą nut Bacha!

– Nie taję, że sam marzyłem o tego rodzaju przygodzie – kończyłem swoje „kazanie”, patrząc na las przed sobą, lecz widząc tam, zamiast drzew, wyobrażony manuskrypt skreślony ręką Wagnera albo Schumann lub Brahmsa, który odkryłem przypadkiem... w ostatnich ruinach Warszawy pod koniec lat pięćdziesiątych. – Ale nawet te bajki nie były przekonujące, bo brakowało tworzywa, z którego mógłbym je lepić. Gdybym jak ty mieszkał w Gdańsku, miałbym większą swobodę w sztuce fantazjowania.

– Niby dlaczego? – A² też patrzył błędnie przed siebie.

– Bo tutaj takie odkrycia są bardziej prawdopodobne. Sam powiedziałeś kiedyś: „Gdańsk to miasto niemieckie”. Skąd

się wzięły u ciebie te wszystkie telefunkeny, grundigi i blaupunktów? A skoro się jednak wzięły, to i rękopis Wagnera mógłby się jakoś znaleźć. W końcu od lat dwudziestych przez prawie dwie dekady odbywał się tu doroczny festiwal Wagnerowski na wzór tamtego w Bayreuth. Czy taka okoliczność nie daje podstaw przynajmniej do wiarygodnych marzeń?

– Marzenia... fantazje... bajki... – cedził słowa A². – Liczą się tylko fakty. Jeżeli już się bawić w tego rodzaju pomysły, to tylko na poważnie: że wcześniej albo później dopnie się swego celu. Ty dalej... choć przyznaję, zmieniłeś się ostatnio... nie dosyć wierzysz w siebie, w swoją szczęśliwą gwiazdę. Przeżywasz wszystko w głowie, wolisz gadać niż działać. Krótko mówiąc, przenosiś: sam ze sobą grasz w szachy. Natomiast ja, mój drogi, stoję twardo na ziemi. Kiedy więc czegoś chcę lub coś sobie zakładam, to muszę to wypełnić, a przynajmniej próbuję. Widziałeś, jak przedwczoraj wciągnąłem się w tę akcję wykupywania książki, chociaż ledwo wiedziałem, co to właściwie za tytuł, i mało mnie on obchodził. Lecz gdy tylko stwierdziłem, że tobie na nim zależy, włączyłem się zaraz do gry, aby spełnić ten plan. Niejako dla zasady.

– Prawdopodobnie masz rację – powiedziałem po chwili.

– Jestem człowiekiem myśli. Myśli i wyobraźni. A ty człowiekiem działania. Działania i „realu”. Szukamy złotego runa inaczej albo gdzie indziej. Ty na ziemi, pod słońcem, a ja w głowie, w ciemności.

– Chodźmy – podniósł się z miejsca. – Zejdźmy do amfiteatru. Nie ma tam teraz nikogo, o tej porze jest pusto. Zobaczmy, jak szczurołap wyglądałby na scenie i którędy by wyszedł, wyprowadzając dzieci. Wymyśl jakąś melodię, zagwizdziesz w stosownej chwili.

– Przeceniasz moje zdolności. Nie jestem Ryszardem Wagnerem.

Antoni Libera

”...na to nałożyły się natychmiast widoki Lwowa i Wilna, które zabrane przez Sowietów, teraz wracały do Ukraińców i Litwinów jako prawowitych właścicieli i chociaż nie miałem z tego powodu żadnych, nawet najmniejszych patriotycznych fobii, to jednak było mi czegoś żal, bo przecież miasta, które otrzymaliśmy w zamian, były doszczętnie zrujnowane, były spalone tak jak Gdańsk i Wrocław, zgwałcone i sponiewierane, tymczasem Lwów i Wilno, jakkolwiek udręczone sowiecką okupacją, komunistycznym brudem i liszajem, zostały ocalone, ich nową egzystencję przyrównać mogłem do pacjenta, który po przebytych tyfusie odzyskuje siły i dawną urodę, natomiast Gdańsk i Wrocław wymagały amputacji kończyn, przeszczepu serca, wymiany nerek i wątroby, wstawienia sztucznych zębów i jeszcze długotrwałej terapii kręgosłupa, który złożono wprawdzie po kawałku, lecz który nie mógł gwarantować pełnej radości życia, podobnie jak liczne przeszczepy oparzonej skóry, nie wspominając, przez dyskrecję, o sztucznym oku i protezie palców...

Paweł Huelle, Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala



W cieniu bukowego lasu

Paweł Huelle

Był sierpień 1933 roku. Z Bayreuth do Gdańska przybył Karl Elmendorff, aby w Operze Leśnej gościnnie dyrygować przedstawieniem *Tannhäusera*. Próba przebiegła pomyślnie, pogoda dopisywała, a na premierowy spektakl sprzedano siedem tysięcy biletów. Rok wcześniej, na tej samej scenie wystawiono *Lohengrina*. Tamto przedstawienie obejrzało łącznie 21.871 widzów, co nie było wcale rekordem. Rekord padł bowiem w roku 1930 przy okazji inscenizacji *Wolnego Strzelca* Carla Marii Webera, gdy sopocką Waldoper odwiedziło aż 22.288 widzów! Czy dlatego, że nie był to Wagner?

Karl Elmendorff prawdopodobnie nie zastanawiał się nad tym pytaniem. Jako dyrygent z Bayreuth, sławnego na cały świat Bayreuth, gdzie istniał jedyny stały teatr wagnerowski, w czasie próby na sopockiej scenie rozstrzygać musiał zupełnie inne problemy. Na przykład brzmienie pierwszych skrzypiec w uwerturze albo dialog pomiędzy Wenus a *Tannhäuserem*: w początku partii nie powinien być zbyt głośny – raczej liryczny, nieco melancholijny. To prawda – obsadę miał Elmendorff znakomitą, partię Wenus w roku 1933 śpiewała Eugenia Burchardt z Opery Miejskiej w Dreźnie, *Tannhäusera* Joseph Kahlenberg, przybyły do Sopotu z wiedeńskiej Staatsoper, Elisabeth – śpiewaczka z Nowego Yorku Göta Ljungberg, a Wolframa – Herbert Janssen z Berlina. Przyznać trzeba, że to jeszcze nie te świetne wagnerowskie głosy, które dla sopockiej sceny pozyskiwał Hermann Mertz – dyrektor Opery Leśnej. O dyrektora i reżysera Merzu będzie jeszcze mowa. Pozostając przy Karlu Elmendorffie, stwierdzić trzeba, że nie od razu stał się entuzjastą „leśnego” Wagnera. Co innego bowiem grać spektakl w zamkniętej przestrzeni teatru, co innego zaś prowadzić orkiestrę i śpiewaków na wolnym powietrzu, Wśród sosen i buków. Problem stwarzały zwłaszcza wielkie chóry. Jak odpowiednio je ustawić w tej przestrzeni? Elmendorff przekonał się do tej idei dopiero w roku 1932, kiedy po raz pierwszy odwiedził Sopot z okazji *Lohengrina*.

Akustyka okazała się świetna, a bukowy las – niczym z germańskiej mitologii dodawał chórom wagnerowskim splendoru. Trzeciego sierpnia 1933, na parę minut przed rozpoczęciem *Tannhäusera*, Karl Elmendorff nie obawiał się o efekt artystyczny. Zupełnie co innego nie dawało mu spokoju. Oto rankiem, tego samego dnia, ktoś puścił w Gdańsku plotkę, że na spektakl w Operze Leśnej przybędzie kanclerz Rzeszy, Adolf Hitler. Nie wiadomo, co myślał wówczas dyrygent Elmendorff o nowo wybranym przywódcy Niemiec. Możemy jedynie z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że sensacyjna atmosfera tamtego wieczoru udzieliła się także i jemu – dyrygentowi z Bayreuth. A rozgrzewano ją rzeczywiście umiejętnie i jakby planowo. Według relacji gdańskiego dziennikarza – Meyera (sporo zapewne przesadzonej) od samego rana w biurze Hermanna Mertza, a także w budynku dworca lotniczego we Wrzeszczu urywały się telefony. Pytano: „Czy to prawda że?; „Proszę potwierdzić lub zaprzeczyć!; „Czy już wylądował?; „Widzieliście samolot?”. Plotka lotem błyskawicy rozprzestrzeniła się po mieście. Sporo Niemców chciało zobaczyć kanclerza na własne oczy. Wieczorem, przed wejściem do Opery Leśnej zgromadził się spory tłum. Mimo oficjalnych zaprzeczeń – a może właśnie dzięki nim – do Sopotu przyjechało znacznie więcej niż siedem tysięcy widzów. Bileterzy nie mogli opanować sytuacji i sporo osób weszło na gapę. Publiczność co chwilę wstawa-

”

I pomyślałem sobie, że ten właśnie zapach, ten jedyny w swoim rodzaju zapach lasu i bukowych polan, które pamiętały książąt o dziwnych imionach Subisława, Świętopelka i Sambora, które widywały Jana Sobieskiego i Fryderyka Wielkiego, ten zapach drzew i miejsc, które milcząco przyglądały się teraz nam, śmiesznym wędrowcom, co zbłądzili w niedobłą godzinę pod nieszczęśliwą gwiazdą, ten właśnie zapach chciałbym czuć, gdy będę kiedyś leżał w trumnie.

Paweł Huelle, *Opowiadania na czas przeprowadzki*



Richard Wagner *Lohengrin*, inscenizacja w sopockiej Waldoper, 1932 | fot. archiwum

ła z miejsc, podobnie jak muzycy, którzy nie chcieli stracić historycznego momentu wejścia wodza. Niemiecki porządek ustąpił niemieckiemu podnieceniu, chociaż tym razem nie przerodziło się ono w niemiecki entuzjazm. Kanclerz Rzeszy nie przybył do Sopotu. A Karl Elmendorff, prowadząc chór, w błysku setek pochodni wyłaniający się z mrocznego lasu i śpiewający poręczne „Beglückt darf nun dich, o Heimat”, straci być może swoją największą chwilę w życiu.

Nie stracili jej recenzenci, którzy o sierpniowym *Tannhäuserze* napisali – także w berlińskich gazetach – że był „wyjątkowy”, „nadzwyczajny” i „przepętniony wielką romantyczną tęsknotą”. Czy była to tęsknota specyficznie niemiecka? I jak dalece wyreżyserowana została przez gdańską NSDAP? Tego w roku 1933 muzyczni recenzenci gazet nie napisali. A może jednak napisali – tyle, że nie wprost, a między wierszami. Nadchodzi wszakże rok 1934, jubileuszowy dla Naturbühne im Zoppoter Walde i letnich spektakli operowych na leśnej scenie. I na to 25-lecie przygotowano się szczególnie starannie.

*

Na fotografii z roku 1934 Hermann Merz wygląda na człowieka zadowolonego z życia. Twarz raczej pełna niż szczupła, dobrze skrojona garnitur, okulary w drucianej oprawce i partyjny znaczek ze swastyką wpięty w klapę marynarki – wszystko to komponuje się harmonijnie w wizerunek człowieka sukcesu. A także kogoś, kto z ufnością spogląda w przyszłość. Co do sukcesów, to istotnie stwierdzić wypada, że los przychylny był Hermannowi Merzowi. Kiedy w roku 1922 – jeszcze jako dyrektor Teatru Miejskiego w Gdańsku – objął sopocką scenę leśną, niewielu ludzi przypuszczało, że uczyni z niej drugi po Bayreuth ośrodek kultu Richarda Wagnera. Wcześniej, gdy Operą Leśną kierował Paul Walter Schäffre, dramaty wagnerowskie wystawiano tu oczywiście również, ale obok nich poja-

wiały się dzieła Beethovena, Glucka czy Webera. Hermann Merz zmienił te proporcje. Pod jego dyрекcją, z wyjątkiem roku 1930, w sopockim lesie rozbrzmiewał już tylko Wagner.

I tak, poczynając od lata 1922, wystawiano kolejno: *Zygryda*, *Walkirię*, *Tannhäusera*, *Lohengrina*, *Zmierzch bogów*, *Parsifala*, *Śpiewaków Norymberskich*. Szczególnie udany był rok 1931, kiedy zrealizowano aż trzy utwory z *Pierścienia Nibelunga*, dając 3 przedstawienia w jednym sezonie. Były to: *Zygryd*, *Walikiria* i *Zmierzch bogów*.

Przedsięwzięcia wymagały wielkich nakładów finansowych i zabiegów technicznych, ale Hermann Merz okazał się zdolnym organizatorem. Przede wszystkim rozbudowano scenę do szerokości 95 metrów, nadając jej też odpowiednią do wielkich inscenizacji przestrzeń – do 100 metrów „głębokości”. Zainstalowano też wielką kurtynę w formie przesuwanych na szynach dwuskrzydłowych drzwi, które przy 8 metrach wysokości miały rozpiętość aż 40 metrów! Zdobyły ją każdego roku girlandy z bukowych gałęzi i liści, wyplatane przez kilka dni, poprzedzających pierwszy letni spektakl. Do tego dochodziła ogromna maszyna techniczna, a więc zapadnie, wózki, elektryczne wyciągi, pełne instrumentarium reflektorów i głęboki orkiestron, mogący pomieścić do 150 muzyków.

Rozmach się opłacał. W roku jubileuszowym obliczono, że za kadencji Hermana Merza wagnerowskie spektakle obejrzało łącznie 250 tysięcy widzów. W stosunku do Bayreuth był to wynik imponujący – zważywszy plenerowy charakter przedstawień. Zazwyczaj dawano ich 5 rocznie, na przełomie lipca i sierpnia. Sopot był już nie tylko kurortem. W pejzażu kultury niemieckiej stawał się miejscem znaczącym i rokrocznie przyciągał wielbicieli Wagnera z odległych zakątków Rzeszy, ale także z polskiego Pomorza, Prus Wschodnich czy państw nadbałtyckich, takich jak Szwecja,

Dania, Estonia czy Litwa. Muzycy, którzy podobnie jak Elmendorff początkowo sceptycznie oceniali plenerowe możliwości wystawiania Wagnera, po obejrzeniu spektaklu chętnie podejmowali współpracę z Hermannem Merzem. Na czym więc polegał fenomen sopockiego Wagnera?

Według samego Merza sprawiała to przede wszystkim romantyczna (tak bardzo przecież niemiecka) idea połączenia sztuki i natury. W wielu wywiadach podkreślał, że sceneria bukowego lasu – „pełnego mroku i tajemnic” – jaką z mitologii germańskiej przeniósł do swoich dzieł Wagner, właśnie tu, w Sopocie, dawała możliwości niezwykle emocjonalnego oddziaływania na widza. Ten równoczesny kontakt ze sztuką i przyrodą był – zdaniem Merza – czymś zupełnie nadzwyczajnym i wyjątkowym. W rozmowie z Meyerem ujął to syntetycznie: „Sztuka, Naród, Natura”, dodając: „sam obcy narodowi intelektualizm nie potrafi sprawić, aby krew teatru wrzała w żyłach”.

O narodzie w jubileuszowym roku 1934 nie zapomnieli także niemieccy politycy. Telegramy i życzenia do księgi pamiątkowej ślą między innymi Joseph Goebbels i Alfred Rosenberg, a z gdańskich dygnitarzy – Hermann Rauschning, prezydent Senatu Wolnego Miasta Gdańska czy Albert Forster, już wówczas mianowany przez Hitlera gauleiterem miejscowej NSDAP. Słowa „naród niemiecki” pojawiają się w tych gratulacjach najczęściej. Richard Wagner przestaje być muzycznym geniuszem Europy. Odtąd ma służyć wyłącznie „wielkiej sprawie duchowego odrodzenia Niemców”. Ze względu na międzynarodowy status Wolnego Miasta Gdańska, niemieccy politycy w roku 1934 jeszcze uważają na słowa. Ale to, czego nie mogą wtedy jeszcze głośno powiedzieć Goebbels czy Forster, wyznać może za to publicznie dziennikarz Wilhelm Zarske, kierujący Związkiem Gdańskiej Prasy, który stwierdza wprost: „Po oderwaniu Gdańska od ojczyzny, muzyka Wagnera świadczyła – najgłębszym uczuciem rodzącej się siły – o wiecznej niemieckości naszego Heimatu”.

Tą kropką nad „i” można by właściwie zamknąć jubileusz. Kanclerz Rzeszy i tym razem nie przybył do Sopotu, choć oczywiście wystano mu oficjalne zaproszenie. Może dlatego, że grano tego roku *Śpiewaków Norymberskich* i *Walkirię*, on zaś z całej twórczości Wagnera najwyżej cenił sobie *Rienziego* i *Parsifala*?

W każdym razie przedstawienie *Walkirii* udało się znakomicie. Szałas Hundinga, ustawiony wokół kilkusetletniego dębu, wzbudził zachwyt widzów. Jeszcze większy aplauz wywołał sam Hunding, wyłaniający się konno z ciemności bukowego lasu. A kiedy – wśród grzmotów i błyskawic – w akompaniamencie orkiestry i chóru *Walkirie* wstępowały na wzgórze, sopockie drzewa szumiały od huraganowych oklasków. A recenzenci szybko opanowali nowy język. W jubileuszowym roku 1934 rzadko pisali już o „wagnerowskim” i „sopockim” lesie. Odtąd był albo „niemiecki”, „mroczny” a najczęściej „Święty, germański las”. Czy był taki jednak od początku leśnej sceny, od roku 1909?

*

Historia Opery Leśnej zaczyna się od manifestacji patriotycznej. W kwietniu 1909 roku na wzniesieniu Promkenhöhe poświęcono pomnik żołnierzy niemieckich, poległych w wojnie francusko-pruskiej. Pomnik nie był okazały, ale uroczystość przyciągnęła sporo mieszkańców Gdańska, Oliwy i zwłaszcza Sopotu. Po przemówieniach na jednej z pobliskich leśnych polan, rozpoczął się plenerowy piknik. Nie wiadomo, czy śpiewano tam wówczas pieśń „Któż to ciebie, piękny lesie, tak wysoko w górze zbudował?”, o której to wielki pisarz austriacki, Robert Musil powiedział z przekąsem, że jest „odruchem warunkowym niemieckiego ciała narodowego”. Wiadomo natomiast, że śpiewano wiele innych pieśni patriotycznych i ludowych, i że udany piknik, a zwłaszcza naturalna akustyka doliny, otoczonej bukowo-sosnowym starodrzewem, wywarła na zebranych głębokie wrażenie.

” Ernest Teodor odpowiadał żonie sucho i rzeczowo. Owszem, uważa Wagnera za ciekawego kompozytora, ale nie za geniusza. To po pierwsze. Po drugie – to, co w Wagnerze naprawdę odkrywcze, oryginalne, piękne – natychmiast zostaje przykryte jego pycha. I nie chodzi tu o życiowe sprawy – kochanki, rozwody, miłosne awantury, rywalizację z innymi muzykami, insynuacje, pomówienia. Nie, chodzi – jego, Ernesta Teodora, zdaniem – o pychę artystyczną. Najpierw niewiarygodna ilość blachy. Tak ciężka, że każdy – istotnie piękny motyw – potrafi zakryć tym rodzajem wrzasku, który nie daje mu korzyści. Jakby przewidział niebywały rozrost w swojej ojczyźnie orkiestr dętych. Strażackich, wojskowych, policyjnych, kolejarских, szkolnych i nawet robotniczych. Potem – cała ta mitologia. Niewiarygodne panowanie kiczu. Ani to prawdziwie ludowe, ani narodowe, choć za takie jest powszechnie uznawane.

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*

W ten sposób zrodził się projekt muzycznych przedstawień plenerowych, któremu patronował ówczesny burmistrz Sopotu, Max Woldmann. Z budżetu miasta wyasygnowano skromną – jak na potrzeby przedsięwzięcia – sumę 2 tysięcy marek. Przystąpiono do budowy sceny, widowni, małej garderoby dla wykonawców, a także niezbędnych dróg dojazdowych, ogrodzenia i parkingu. Już po 4 miesiącach, 11 sierpnia 1909 roku nastąpiło uroczyste otwarcie Opery Leśnej spektaklem *Obozu Nocnego w Granadzie* Conradina Kreutzera. Nad całością artystyczną czuwał reżyser, muzyk i kapelmistrz Teatru Miejskiego w Gdańsku, Paul Walter Schäffer, a nad stroną muzyczną – Emil Schwartz, dyrygent Związku Nauczycieli Śpiewu.

Sukces widowiska przeszedł najśmielsze oczekiwania organizatorów. Powtórzone jeszcze dwukrotnie przedstawienie zwróciło z nawiązką koszty całego przedsięwzięcia. To wówczas zdecydowano, że na sopockiej scenie letniej gościć będzie przede wszystkim niemiecki repertuar romantyczny. I natychmiast rozpoczęto przygotowania do wystawienia dwóch aktów (I i III) *Tannhäusera* w roku 1910. Przedstawienie całej opery wydawało się wtedy jeszcze niemożliwe ze względów technicznych. Paul Walter Schäffer pragnął bowiem zachować – wzorem dramatów starożytnych – jedność miejsca akcji i był zwolennikiem raczej „naturalnej” niż „sztucznej” scenografii. Ta zasada, podobnie zresztą jak postulat repertuarowy, nie była jednak w tamtym czasie przestrzegana bezwzględnie. Obok *Złotego krzyża*, *Wolnego strzelca* czy *Umajonej Królowej*, grano również na sopockiej scenie także repertuar nieco lżejszy, by wspomnieć choćby tylko *Barona cygańskiego* z sierpnia 1913 roku.

Ogółem w latach 1909-1921 przygotowano dwanaście premier. Zważywszy na wojenną przerwę (1915-1919), świadczyło to o rosnącej popularności przedstawień w leśnej dolinie. Mimo zdecydowanie niemiecko-patriotycznych początków, Opera Leśna nie przedstawiała się jednak letnikom, kuracjom i melomanom jako „przybytek niemieckiego ducha”. Sopocki las wokół sceny i amfiteatru nie był zatem wtedy jeszcze ani „święty” ani „germański”. Czy stał się takim za przyczyną dzieł Richarda Wagnera? Istotnie – w jego twórczości wiele elementów odwołuje się do niemieckiej mitologii, owej „germańskiej pradawności”, o której tak chętnie pisali propagandyści w rodzaju Rosenberga. Trudno jednak zgodzić się z tezą, że dramaty wagnerowskie automatycznie wywołały narodowosocjalistycznego ducha. Wagner, odwołujący się do

uczuć i emocji, jak każdy romantyczny artysta, został przez ruch nazistowski użyty do celów ideologicznych i propagandowych. Jednym z elementów wykorzystywanych w tej ideologii stała się właśnie niemiecka sztuka romantyczna, a tym także Wagnerowska – z jej zamiłowaniem do scenicznego efektu, monumentalizmu i uwodzicielskiego stosunku do widza.

Hermann Merz wyczuł więc doskonale ducha nadchodzących czasów. Jako reżyser, dyrektor i członek partii oddał nazistom nieocenione usługi. Przemienił sopocki las w „las

święty i niemiecki”. Odtąd nie chodzono już do Opery Leśnej zwyczajnie, lecz „pielgrzymowano” w określonym celu. *Tannhäuser* z roku 1933 jest z tego punktu widzenia momentem przełomowym w historii sopockiej sceny. Przetrwiała ona – w kształcie nadanym jej przez Merza – do 1944 roku; ironicznie i szyderczo opisał ją Günter Grass w *Błaszany bębenku*. Dzisiejsza publiczność licznych

festiwali i koncertów muzycznych w tym miejscu, okłaskując rockowe kapele czy kotyszące biodrami kandydatki do tytułu kolejnej miss, nie zawsze zdaje sobie sprawę, że w tej leśnej kotlinie przez wiele lat rozbrzmiewała zupełnie inna muzyka.

To prawda, że tradycję wagnerowską przez długi okres PRL-u uznawano za wielkoniemiecką i szowinistyczną. Nie bez podstaw, zważywszy uwielbienie Hitlera dla tego kompozytora i haniebny, antysemicki tekst Wagnera o Mendelssohnie i duchu muzyki żydowskiej. Szczęśliwie ten okres traumy historycznej mamy już za sobą, a muzyka Wagnera – uniwersalna przecież – wraca powoli na sopocką leśną scenę w rozmaitych przedsięwzięciach. Wielkie festiwalowe inscenizacje wagnerowskie nigdy już jednak nie powrócą w to miejsce w swoich dawnym kształcie. Nie ma zresztą takiej potrzeby. Pojęcie „misji niemieckiej kultury na Wschodzie” odeszło, na szczęście, w niebyt wraz z klęską III Rzeszy. Czas obecny jest dla nas już epoką swobodnych wyborów estetycznych i repertuarowych. I nic nie stoi na przeszkodzie, aby co jakiś czas na scenie Opery Leśnej rozbrzmiewał przepiękny duet Tristana i Izoldy czy fantastyczny chór pielgrzymów z *Tannhäusera*.

A przy okazji warto pamiętać, że Richard Wagner skomponował również piękną uwerturę *Polonia* (z wplecionymi w nią fragmentami polskiego hymnu), która już na zawsze pozostanie jego osobistym hołdem, złożonym odwadze i jedności wszystkich Polaków, walczących o niepodległość podczas Powstania Listopadowego.

Paweł Huelle



Richard Wagner *Śpiewacy norymberscy*, inscenizacja w sopockiej Waldoper, (prawdopodobnie 1934, 1935) | fot. archiwum

Teatr Polskiego Radia przedstawia

Paweł HUELLE

Walka kogutów

Adaptacja i opracowanie: Wojciech Fułek

Reżyseria: Paweł Chmielewski

Słuchowisko *Walka kogutów* jest luźną adaptacją opowiadania Pawła Huelle *Wuj Henryk*. Zostało zrealizowane w Teatrze Polskiego Radia już po śmierci pisarza i miało swoją premierę na antenie I Programu Polskiego Radia 9 marca 2024 roku.

Realizacja akustyczna: Andrzej Brzoska, muzyka: Marek Kuczyński, kierownictwo produkcji: Beata Jankowska.

Obsada: Artur Barciś, Piotr Cyrwus, Andrzej Andrzejewski, Konrad Darocha, Kamila Kamińska, Marcin Troński, Krzysztof Janczar, Agnieszka Baranowska.

Słuchowisko dostępne jest nieodpłatnie na stronie Polskiego Radia oraz platformie streamingowej Spotify.

LEKTOR:

A teraz na naszej antenie kolejny odcinek z cyklu: „Lektury nadobowiązkowe” – fragment książki niedawno zmarłego gdańskiego pisarza Pawła Huelle *Byłem samotny i szczęśliwy* czyta Artur Barciś.

NARRATOR (w tle muzyka klasyczna)

Wuj Henryk był żołnierzem Armii Krajowej i za Powstanie Warszawskie odznaczono go Krzyżem Virtuti Militari. Mimo przegranego powstania, mimo przegranej wojny i trudnego życia, wuj Henryk zachowywał się jak dżentelmen i oficer i nikt nigdy nie słyszał z jego ust narzekania na materialną stronę egzystencji czy polityczną sytuację w kraju. Miał swoją własną filozofię, którą dzisiaj określić można mianem sztuki przetrwania w skrajnie niesprzyjających warunkach. Nie palił, uprawiał biegi i szwedzką gimnastykę, jeździł na nartach i rowerze.
(odgłosy ćwiczeń fizycznych)

WUJ HENRYK

Człowiek musi być silny! A ta siła, mój chłopcze, ma tylko dwa źródła: ciało i duszę.

PAWEŁ

Wiem, wiem, w zdrowym ciele zdrowy duch...

WUJ HENRYK

To Juwenalis, rzymski poeta. Już wtedy o tym wiedzieli! (słysząc siłowanie się z hantlami, ew. sprężynami, ciężki oddech, zniechęcenie)

PAWEŁ

Ale ja tak nie umiem, jak wuj!

WUJ HENRYK

Zbyt prędko się zniechęcasz. Trzeba być zahartowanym, mój chłopcze. Trzeba być przygotowanym na trudy, a tu nie potrafisz nawet porządnie zrobić mostku czy stójki...

PAWEŁ

No, właśnie, a ja – w tajemnicy przed wujem – porzuciłem podarowane mi przez niego hantle i sprężyny i zacząłem pisać wiersze. Postanowiłem zostać poetą i umrzeć – jako bluźnierca, wyrzutek, opuszczony przez wszystkich i zapomniany, najlepiej w oparach alkoholu, tytoniowego dymu, w jakimś zapłutym barze albo podejrzanym hotelu. Chciałem umrzeć jako poeta przeklęty, bo świat mojego dzieciństwa, ten świat, w którym pierwszomajowe pochody mieszały się z pielgrzymkami do świętych miejsc, obrzydł mi zupełnie. Ojciec i matka uważali, że zwariowałem i trzeba iść ze mną do lekarza.

WUJ HENRYK

Do lekarza? Do lekarza!! Tu trzeba pasa i dyscypliny. Popatrzcie tylko na jego oczy. Czy to jest spojrzenie zdrowego chłopca? To są oczy nałogowego onanisty! Młody człowiek powinien uprawiać sporty, powinien brać zimne kąpiele, słowem, hartować się! Tak, moi drodzy, hartować ciało i duszę!
„Szanuj zdrowie należycie, bo jak umrzesz – stracisz życie!”

PAWEŁ

A to znam. Aleksander Fredro.
(powraca muzyka klasyczna)

NARRATOR

Następnych kilka lat nie należy do tej opowieści.

PAWEŁ

Wuj Henryk zniknął po prostu z mojego horyzontu; widywałem go jedynie czasem z okien kolejki miejskiej, jak krzątał się w ogrodzie koło swego domu, i raz do roku na imieninach ojca, gdy przychodził złożyć mu życzenia – jak zawsze sprężysty, ogorzały, pełen godności i umiaru. Nie wypytywał mnie już o stopnie i ćwiczenia sportowe. Czasem jedynie obejmował mnie na moment swoim badawczym spojrzeniem i wtedy czułem, że znów miałby mi wiele do zarzucenia. Ale byłem już studentem i nawet na myśl mi nie przychodziło, że mógłbym z nim kiedykolwiek i gdziekolwiek wybrać się na jakąś wspólną męską wyprawę..
(stukanie do drzwi)

NARRATOR

Pewnej zimowej nocy, a właściwie w grudniowe popołudnie, „gdy zmierzch – jak zawsze o tej porze roku – nadszedł zdecydowanie za szybko – ktoś niespodziewanie zastukał do drzwi. Był to wuj Henryk we własnej osobie. Miał na sobie lekką puchową kurtkę i czarne narciarskie spodnie (mniej więcej takie, jakich używano w latach sześćdziesiątych na Ornaku), na ramionach – staromodny fiński plecak na wiklinowym stelażu, w rękach trzymał spięte z bambu-

sowymi kijkami narty, reszty stroju dopełniała wełniana czapka z norweskim wzorem i starego typu czarne, skórzane buty narciarskie, ze ściętymi nosami i krzyżującymi się rzemykami.

WUJ HENRYK

Jest świeży śnieg! No to co? Wybierzemy się, chłopcze, w końcu razem na małą wycieczkę krajoznawczą?

PAWEŁ

Co tak się wujowi nagle zebrało? Ja mam sesję za tydzień, uczyć się muszę!

WUJ HENRYK

To tym bardziej przewietrzenie głowy i ducha jest ci potrzebne! Przecież masz jeszcze swoje narty?

PAWEŁ

No... mam. Może i wuj ma zresztą tym razem rację. A ta mała wycieczka? To znaczy gdzie konkretnie mamy się wybrać?
WUJ HENRYK (słuchać wymowianie i rozkładanie papierów)
Tu mam starą mapę tych okolic. Patrz, moglibyśmy na deskach podjechać do starej kuźni – prochowym duktem obok Diabelskiego Kamienia, a potem już przez te wzgórza i las – w stronę Kamiennych Kręgów i do Jaworowej Doliny w okolicach Sopotu. Stamtąd zjechałibyśmy w dół, niedaleko Opery Leśnej i tego cmentarza na wzgórzu Trzech Gracji. A potem przez uśpiony Górny Sopot, gdzie secesyjne wille i fantazyjnej pałacyki toną teraz w głębokich czapach śniegu.

PAWEŁ

Palec wuja Henryka powoli kreślił na mapie trasę naszej wyprawy, w końcu zatrzymał się w okolicach sopockiej stacji kolejowej, która – dość prowizorycznie i pokracznie odbudowana po wojnie, zatraciła cały swój dawny urok i czar. Tylko budynek bagażowni, w której umieszczono dziś kolejową toaletę, przypominał o przedwojennej świetności tego miejsca.

” Jezus podchodził do niego bezszelestnie i pomagał toczyć głaz na górę, a kiedy wreszcie Syzyf krzyknął zdumiony: „udało się! udało!”, Jezus wychodził z mgły – obłoku i mówił donośnym głosem, tak żeby go wszyscy słyszeli: „Syzyfie! Twoje winy zostały ci odpuszczone!”. Potem Jezus przechodził dalej, aż do hesperyjskiego sadu, gdzie wśród nachylonych gałęzi, złotych jabłek i lekkiego wietrzyku przechadzali się poeci, a pomiędzy nimi mój dziadek Karol, który wprawdzie nie pisał wierszy, ale miał duszę poety i na pewno wędrował z innymi cieniami wśród wysokich traw, spokojny i szczęśliwy.

WUJ HENRYK *(stuka w mapę)*

Ostatni pociąg do Wrzeszcza mamy stąd o godzinie... zero piętnaście. Na pewno zdążymy! I co powiesz chłopcze, na taki plan?

PAWEŁ

Wprost nadzwyczajne, wuju!

WUJ HENRYK

Masz tu świecę. Nasmaruj grubo deski, a ja zaczekam na dole... Tylko się pośpiesz!

PAWEŁ

Narty przypięliśmy już na skraju lasu, na samym szczycie sporej góry. Przed nami rozciągał się rozległy, ośnieżony stok, dalej – już w granatowej ciemności, rysowały swe garbate linie wzgórza, a między nimi potyskiwały światła miasta i zatoki.

WUJ HENRYK

No, widzę, że jesteś już gotowy!

PAWEŁ

Wuj – jak zawsze – miał na każdą okazję, jakieś powiedzenie czy cytat.

WUJ HENRYK

Kto za długo stoi, ten się zawsze boi!

PAWEŁ

Mróz tężał z minuty na minutę, pod deskami skrzypiał sypki śnieg, a z naszych ust i nosów buchały kłęby pary.

WUJ HENRYK

Jaadzieemyyy!

PAWEŁ

Pomknęliśmy w dół po nieoświetlonym stoku, ciemnym, wzbudzając po drodze tumany śnieżnego puchu, które opadały za nami wolno jak we śnie...

WUJ HENRYK

I rrrazz!

PAWEŁ

krzyczał wuj Henryk wykonując pierwszy skręt

WUJ HENRYK

I dwaaa!

PAWEŁ

Zahaczył kijkiem o śnieg i złożył się płynnie do kolejnego wirażu...

WUJ HENRYK

lii trzyyyy!

PAWEŁ

Wybił się sprężysto i wysoko na małej muldzie i frunął w powietrzu nad stokiem dobre dziesięć metrów, mocno wychylony do przodu...

WUJ HENRYK

I heeej!

(słychać hamowanie na śniegu)

PAWEŁ

Wuj zatrzymał się wreszcie u podnóża góry klasycznym telemarkiem z przykłęką, a miliony białych drobin wyrzucone w górę tym ostatnim wirażem otaczały teraz całą sylwetkę wuja i uczyniły go niewidzialnym na kilka sekund, po czym opadały wolno w dół, jak obłok, z którego wyłaniają się niespodziewane, fantastyczne kształty...

WUJ HENRYK *(krzyczy z pogłosem)*

No to teraz ty, chłopcze! Dawaaj!

PAWEŁ

Ruszyłem odważnie, wypatrując przetartej przez wuja ścieżki i jego śladów na śniegu, ale na muldzie, gdzie wuj wykonał skok, moje narty skrzyżowały się i runąwszy bezwładnie w miękki śnieg przekoziółkowałem kilka razy...

WUJ HENRYK

Cały jesteś? Nic ci się nie stało?

PAWEŁ

Wuj pochylił się troskliwie nade mną, trzymając narty, które się wypięły...

WUJ HENRYK

Nogi w porządku?

PAWEŁ

A ja – leżąc w tym puszystym śniegu i patrząc w gwiazdy, poczułem się nagle bardzo dziwnie, bo czas – zatoczywszy koło, cofnął się w tej chwili: miałem wrażenie, jakbym właśnie spadł z trzepaka obok ceglanego domu, gdzie rosły czereśnie, gruszki, i śliwki-renklody. I natychmiast poczułem w ustach smak kurzu, który unosił się nad Wrzeszczem jeszcze kilkanaście lat wcześniej. To był smak brukowanych ulic, zarośniętych ogrodów, chodników z ubitą ziemią, wędzonych ryb w zatłuszczonej gazecie, dymu z parowozów i smaru tramwajowych zwrotnic...

WUJ HENRYK

Za wcześniej się pochyliłeś...



Pawla

Huellego

Regina Latorre

Cada vez que voy a un lugar que voy a encontrar

PAWEŁ

Wuj pomógł mi wstać, a kiedy przypinałem narty, demonstrował prawidłową postawę skoczka narciarskiego, jaką powinien przyjąć...

WUJ HENRYK

Tuż przed progiem ciało musi być luźne, a potem, mój chłopcze, w ułamku sekundy powinieneś sprężyć wszystkie siły, wtedy skok na pewno się uda... I pamiętaj, o górę się nie potkniesz, ale o kamień na muldzie – zawsze możesz.

PAWEŁ

Jeszcze chwilę trwało, zanim się otrzepałem ze śniegu, sprawdziłem rzemyki, przytrzymujące narty, włożyłem wełnianą czapkę w paski z dyndającym pomponem, która spadła mi w czasie upadku. Nabiłem sobie sporego guza, uderzając głową w jakiś wystający korzeń podczas upadku, ale byłem już gotowy do dalszej jazdy, kiedy wuj zapytał:

WUJ HENRYK

Która jest godzina? Nie wziąłem dziś zegarka, a trochę czasu już chyba straciliśmy.

PAWEŁ

Wtedy spojrzałem na swój zegarek, który ojciec kupił mi na maturę. Na jego tarczę, gdzie złożone rosyjskie bukwę układały się w pochylony napis MIR i zobaczyłem, że wszystkie wskazówki są nieruchome. Delikatnie nim potrząsałem, próbowałem go nakręcić i uruchomić, ale jego wskazówki nie chciały ruszyć z miejsca, zastygłe na godzinie ósmej... (zwraca się do wuja:)
Musiałem uszkodzić zegarek podczas upadku.

WUJ HENRYK

Szczęśliwi czasu nie mierzą... Jesteś szczęśliwym człowiekiem, chłopcze?

PAWEŁ

W tej chwili? Chyba tak, bo nic mi się nie stało! Żyję! Tylko ten zegarek. A wuj?

WUJ HENRYK

Czy taki samotnik jak ja może być szczęśliwy?! Szczęście

to zapłata Pana Boga za dobre uczynki. A ja mam z Panem Bogiem swoje porachunki.

NARRATOR (wraca klasyczna muzyka)

Jakie mogły być te porachunki z Panem Bogiem? Przecież nigdy nie stracił swojej wiary. Był bogobojny, jak mało kto. Modlił się jednak do Boga, który nieodmiennie poniża sprawiedliwych, a nad naszym światem pozwala panować łajdakom w mundurach czy bez mundurów. Może zatem Bóg wuja Henryka był Bogiem spraw i wojen przegranych? Bogiem ludzi, którym kiedyś zabrano wolność i nadzieję i mogą nigdy już ich nie odzyskać?

PAWEŁ

A śnieg cały czas padał i padał, unosząc się nad nami jak srebrny pył, osiadając na krótką chwilę przed roztopieniem na naszych czapkach, rękawiczkach i kurtkach.

WUJ HENRYK

A tym zegarkiem to się nie martw. Ruskie badziewie. Dobry czas odmierzają tylko prawdziwe chronometry. Zresztą – może czas zatrzymany jest więcej warty, bo nigdy nie przemija?

NARRATOR

Za doliną Sambora zerwał się nagle mocny wiatr i wielkie płatki śniegu zaczęły wirować teraz w powietrzu jak gęsta zasłona. Małe postacie dwóch narciarzy na wielkiej przestrzeni stały się teraz niemal niewidoczne, ale nad nimi co chwilę ciemnogrnatowe niebo rozjaśniały co jakiś czas błyskawice, a po kilku sekundach dobiegał donośny grzmot pioruna...

WUJ HENRYK

Tego jeszcze nie było. W zimie taka burza?! Gniew Boży?

PAWEŁ

Wuju i co teraz?!

WUJ HENRYK

Jeżeli chcesz, możemy zawrócić. Nie spodziewałem się ani takiej zadymki, ani tym bardziej, o tej porze roku – piorunów.

” Stanęli na baczność i odśpiewali – nie wiadomo przez kogo zaintonowaną pieśń – „Boże, coś Polskę”. Wszystkie zwrotki. W mundurach Wehrmachtu. Wraz z refrenem: „Ojczyznę wolną, racz nam wrócić, panie” (...) Za taką pieśń trafiało się właśnie na Gestapo i do obozu. A tu nic. No nic. Niemcy milczeli i cierpliwie czekali. Pociąg wypełniony kaszubskimi rekrutami wreszcie ruszył.

Paweł Huelle, Śpiewaj ogrody

PAWEŁ

Eee, tam! Jedziemy dalej. Do końca.

WUJ HENRYK

Naszego, świata czy tej burzy?!

NARRATOR

I ruszyli dalej przed siebie, lecz z każdą chwilą coraz trudniej było im przecierać doskonale znany szlak, bezpieczny i łatwy za dnia, w taką pogodę zmieniający się jednak w ryzykowną i zdradliwą pułapkę. Wiatr pędził między drzewami tabuny białych, śnieżnych chmur; zdawało im się, że za chwilę runą na nich wielkie konary mijanych drzew, uginające się pod ciężarem zlodowaciałego śniegu. Sunęli dalej w zupełnych ciemnościach, klucząc i spierając się na każdym skrzyżowaniu leśnych ścieżek. Mróz osiągnął już dobre dwadzieścia stopni i przenikał ich na wylot. Teraz nie chcieli już nawet dotrzeć do końca zaplanowanej trasy, a tylko odnaleźć drogę powrotną albo przynajmniej taką, która wyprowadziłaby ich z lasu.

WUJ HENRYK

Dziwne! Przecież tu powinno być przejście na drugą stronę... W kierunku Kamiennych Kręgów.

NARRATOR

Mocno przygięci do ziemi posuwali się niemal po omacku, jak ślepcy z obrazu Breugla skazani tylko na siebie. Schodzili powoli po oblodzonym stoku gdzieś w dół, a wokół nie było już nawet sosen, świerków i buków, tylko biała wirująca chmura, w której na ułamki sekund pojawiały się czarne

dziury ziejące absolutną pustką. Z każdym kolejnym krokiem stąpali coraz ostrożniej i wolniej, a żywioł, jaki ich otaczał, był groźny i obojętny...

PAWEŁ

Poczułem strach. Wystarczył moment nieuwagi, by puścić narciarski kijek, trzymany z drugiej strony przez wuja Henryka i polecieć w tę pustkę jak bezwolny patyk.

WUJ HENRYK

To niemożliwe! To przejście musi być właśnie tu, gdzieś blisko! Diabelski Kamień już przecież dawno minęliśmy. Zaraz je znajdziemy...

PAWEŁ

A ja, dokładnie w tej samej chwili, kiedy wuj mnie tak przekonywał, mówił, przestałem w to wierzyć. Miałem wrażenie, że śnieżna burza, niczym powietrzna trąba, przesuwa się razem z nami, jakby ktoś z góry kierował jej ruchem, i że gdzie indziej nad oliwskim lasem panuje teraz cicha noc jak z niemieckiego obrazka i znanej na całym świecie kolędy, a tylko my dwaj schodzimy coraz niżej i niżej w ciemność, jak po drabinie bez końca.

PAWEŁ

Strasznie tu ciemno, wuju...

WUJ HENRYK

Jak w trumnie, mój chłopcze. Do śmierci trzeba się przyzwyczajać za życia...

” Żyjątko te – *Ciona intestinalis* znalazły nietypowe rozwiązanie problemu ewolucji. W formie larwalnej posiadając niezbędną do poruszania się i polowania mózg, natychmiast się go wyzbywały, znajdując pewną pod względem zapewnienia pokarmu i bezpieczeństwa przetrwalnikową niszę. Według biologów zdumiewające to zjawisko podyktowane jest ewolucyjnym procesem przetrwania: mózg w warunkach stabilizacji jest dla mikroskopijnych *Ciona intestinalis* zbyt dużym, energochłonnym obciążeniem.

Paweł Huelle, *Ostatnia wieczerza*

” Zirytowali go politycy: nawet dziecko kłamałoby z większym wdziękiem niż ci panowie oskarżający się nawzajem. Przypominali pijanych, spoconych tragarzy, wyrywających sobie walizkę jedyne go pasażera, na jakimś prowincjonalnym, źle oświetlonym, dawno zamkniętym dworcu.

Paweł Huelle, *Opowieści chłodnego morza*

PAWEŁ

I wtedy pomyślałem, że jedyny swoim rodzaju zapach lasu i bukowych polan, które pamiętały książąt o dziwnych imionach Subisława, Świętopelka i Sambora, które widywały Jana Sobieskiego i Fryderyka Wielkiego, ten zapach drzew i miejsc, które milcząco przyglądały się teraz nam, śmiesznym wędrowcom, co zbłądzili w niedobłą godzinę pod nieszczęśliwą gwiazdą, ten właśnie zapach chciałbym czuć, gdy będę kiedyś leżał w trumnie...

WUJ HENRYK

Zjadłbym coś w końcu...

PAWEŁ

Wuj powiedział to tak zwyczajnie, jakbyśmy siedzieli przy wielkim kuchennym stole i czekali na obiad, który przygotowała specjalnie dla nas babcia Antonina.

WUJ HENRYK

Najlepiej taki gorący, parujący rosół z domowym makaronem i dużymi kawałkami białego mięsa.

PAWEŁ

Wuj oszalał – przemknęło mi przez głowę – i teraz już na zawsze zostaniemy właśnie w tym miejscu, zamarznięci i przysypani białym puchem, a nasze ciała z przypiętymi nartami odnajdzie ktoś dopiero na wiosnę, kiedy roztopione śniegi spłyną z gór i już nigdy nie powrócą – takie same...

WUJ HENRYK

Taki młody kogucik jest najlepszy na rosół. Wcale nie kura, jak wszystkim się wydaje.

PAWEŁ

Wuju, dobrze się czujesz?

NARRATOR

Tak, koguty zawsze odzywały się pierwsze – te, które piały o świcie w ogrodach Wrzeszcza i Oliwy, w krzakach porzeczek i i agrestu, wśród tyczek fasoli i owocowych drzew, w nędznych, naprędce skleconych kurnikach, przykrytych dyktą i obitych papą; koguty, które już dawno zniknęły z tego miasta, tak samo jak gazowe latarnie, konne wozy, tramwaje linii letniej, słupki hydrantów z żeliwnymi łańcuszkami, sklepy z resztkami kolonialnej glazury i suchy piasek podwórek i ulic. A jednak, choć to wszystko odeszło w przeszłość, miasto wciąż pozostawało to samo, jakby czas się w nim zatrzymał, jakby posiadało niezmienną formułę, której nic nie było w stanie naruszyć – pożary, bombardowania i wędrówki ludów, a w ślad za tym zmieniające się języki, obyczaje, nazwy statków, ulic, szepty, miłosne zaklęcia, i jeszcze krój marynarek, sukni, spodni i obcasów.

WUJ HENRYK

Ha! Mamy szczęście, mój chłopcze!

PAWEŁ

Szczęście?!

WUJ HENRYK

Tak, bo nic nam się nie może złego stać!

PAWEŁ

A to niby dlaczego?

WUJ HENRYK

Bo mam w kieszeni koguci kamień. Zapomniałem, że nigdy się z nim nie rozstaję, mam go i teraz. Dlatego!

PAWEŁ

Wuju, co ty mówisz?! Jaki kamień?

WUJ HENRYK

Taki, który można znaleźć tylko w żołądku koguta. To talizman szczęścia, który dodaje odwagi i czuwa nad Tobą w ciężkich chwilach. Dał mi go dawno temu Anton, stary Kaszub.

PAWEŁ

Wuju, to ja się uderzyłem w głowę! Nie ty! Teraz to musimy teraz znaleźć stąd jakąś drogę, która na wyprowadzi. Kamień nam w tym nie pomoże!

WUJ HENRYK

Ale ja czuję zapach gotowanych ziemniaków. Czy podzielasz to wrażenie węchowe chłopcze?

PAWEŁ

Wuj na pewno zwariował – pomyślałem – i nic nas teraz już nie uratuje. Zostaniemy w tym lesie na całą wieczność...

WUJ HENRYK

Ależ tak! Nie może być żadnej pomyłki, mój chłopcze! To piękna woń kartoflanych łupin, ciepłych, parujących, a to oznacza tylko jedno – że jesteśmy w pobliżu jakiejś ludzkiej siedziby!

NARRATOR

Wuj odepchnął się mocno kijkami, a narty poniosły go wprost w środek białej kurzawy, gdzie zniknął w huczącej wiatrem ciemności.

PAWEŁ

Wuju, zatrzymaj się! To niemożliwe! Tu nie ma żadnej wioski! Zaczekaj!

WUJ HENRYK

Czas na nikogo nie czeka! Za mną!

PAWEŁ

Wuj biegł na nartach jak zawsze długimi wyrzutami nóg, nie pozostawiając mi innego wyjścia, jak za nim nadążyć. Nie wiem, jak długo trwała ta osobliwa gonitwa, pamiętam tylko, jak przemierzyliśmy dobrych kilka kolejnych wzgórz, i że byłem już u kresu sił, gdy wuj zatrzymał się wreszcie u wrót głębokiej kotliny. Wtedy dopiero spostrzegłem, że nie pada już śnieg i ustała wichura. Po naszej lewej stronie widniała ciemna sylwetka przygarbionego, mocno zniszczonego wiejskiego kościółka, a po prawej majaczył cmentarny murek, a za nim półkoliście zakończone nagrobki przykryte czapami śniegu.

WUJ HENRYK

No I co? Czyż nie miałem racji? Popatrz tylko!

NARRATOR

Po obu stronach drogi ciągnęła się wieś. Ceglane i drewniane domki, przycupnięte w zaspach, małe okna, z których sączyło się światło, siwy dym umykający z kominów w granatowe niebo, jakby ktoś namalował zimowy nocny wiejski pejzaż.

WUJ HENRYK

Gdzie myśmy właściwie trafili?

IGNAC

Wa! To je tacz Piękni Poole!

PAWEŁ

Odwrociłem się. Za nami stał mężczyzna ubrany w roboczą kufajkę, gumowe buty z wołtociem i czapkę – uszanke, taką samą, jaką na filmach nosili sowieccy czołgiści.

WUJ HENRYK

Jak?! Jak Pan powiedział? Jak się ta wieś nazywa?

IGNAC

Piękni Poole. A może bec i Schenfeld. Wasta chodzta za mną! Wy są wanogi, jo, po co se dalej trudzyc?

WUJ HENRYK

Piękne Pole, Schenfeld. Słyszales o takiej miejscowości w naszej okolicy? Nie przypominam sobie niczego takiego z żadnej mapy.

PAWEŁ

Mężczyzna nie przestając się uśmiechać, zaprowadził nad do obejścia, gdzie odpieliśmy nasze narty i postawiliśmy je na sztorc przy drzwiach. A kiedy weszliśmy już do sieni i zdjęwśmy czapki oraz rękawiczki, zaczęliśmy otrząpywać ze śniegu buty, kurtki i spodnie, on nagle krzyknął tubalnym głosem:

IGNAC

Hankaa! Jesc bandzemy.
(słychać otwierane drzwi, kroki)

IGNAC

Niech siadają!

” Czytelnik, zgodnie z prawem hollywoodzkich scenariuszy, musi być co parę minut rozbawiony, aby – Boże broń! – nie poczuł, że idzie o jakieś sprawy serio. Literatura tego stylu powinna być jak papier higieniczny – powszechnie dostępna, czysta, miękka, przyjemna w dotyku.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

” Racjonalna postawa – pisał Popper – nie polega na poszukiwaniu faktów potwierdzających nasze mniemania, przypuszczenia czy hipotezy, takie bowiem zawsze dadzą się znaleźć, lecz na stawianiu sobie pytania: jakie ewentualne uznane fakty zmuszałyby nas do ich porzucenia.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

HANKA

Ło, Jezu! Toż i panom zachciało się badziać w taka zawierucha?! Sobakę wygonić trudno, dopieroż człowieka!

IGNAC (*spluwa*)

Pleszcze, aby pleszczec! Jesc daje, prandko!

HANKA

A czego ty zbiesił sia, a? Niech nie pluji na podłoga, bo jeszcze trocha, a zgniji! Mówiła ja tobie przeca, że jak przyjąć mają, to i przyjdą, choćby w najgorsza pogoda, i kartofli z grzybami na ogniu ja trzymała.

IGNAC

Nie szpulam ja na podłogę, a taka głupia gadka to se ucinaj z biełkami! Jo!

HANKA

Ty durnowaty jeden! A któż zbiesił sia? Kto włosy z głowy rwał i krzyczał: „Nie przyjdą, nie przyjdą!” Toż mówiła, że o czasie odpowiednim pojawią się, bo śniła ja o tym w pierwsza niedziela adwentu. I czas odpowiedniejszy teraz właśnie nastał!

IGNAC

O, wa! Francmasońska gadka (*puka się w czoło*). Taci bzdzenie muchy!

PAWEŁ

Wuj Henryk nic nie powiedział. Kiedy zjedliśmy już ziemniaki, skwarki, grzyby i kawałki duszonego mięsa w gęstym sosie, przyprawionym pieprzem, liściem bobkowym, majerankiem, miętą, czosnkiem i czombrem, gdy spałaszowaliśmy kiszzone ogórki i marynowane rydze, gdy wypiliśmy już kompot z malin, zapytał wreszcie:

WUJ HENRYK

Czy ktoś na nas tu czekał?

(*kobieta upuszcza talerz, który się rozbija*)

IGNAC

O wa! Jo jestem Ignac, a to je moja biełka, Hanka... Jo, my tu czekali...

HANKA

Ignac, ot spokój byś panom dał. Niech zjedzą zdrowo, bez nerwowania się.

PAWEŁ

W zdrowym ciele...

IGNAC

Jo! Niech bandze wam! (*wstaje i wychodzi, słychać oddalające kroki*)

WUJ HENRYK

Kobieto? Co wy z mężem ukrywacie? O co tu chodzi?

HANKA

Ot, turbulencję we wsi mamy i na panów czekaliśmy.

PAWEŁ I WUJ HENRYK (*razem. Zdumieni*)

Na nas?!

HANKA

Na was, a może i nie na was... Kto wie? Ignac poleciał po gospodarzy, znaczy rozpatrzyć się.

WUJ HENRYK

No dobrze, pani gospodyni, niech mi pani w takim razie powie, jak stąd do miasta jeździecie? Którędy? Bo my zbłądziliśmy, widzi pani, zadymka taka była i burza z piorunami...

HANKA

A po cóż tak od razu w powrotna droga zbierać się, a? A troszku wywczasować się nie łaska? Wszystko po bożemy bandze, w kolejności swojej. Czas nikogo nie goni, wianc po co wy jemu uciekać chcecie, a?

WUJ HENRYK

No oczywiście! A przystanek tu we wsi macie?

HANKA

A czegoż by nie mieli mieć? Ot, nie dalij jak pobok Depków chazajstwa. My do miasta na awtobusie jeździm, ale teraz żaden już nie przyjedzi. Pora zbyt późna.

PAWEŁ

A jaka to linia?

HANKA

Jaka, jaka? Toż widać, że zwyczajna, czerwona, znaczy się miastowa.

PAWEŁ

Ale numer jaki? Cyferki jakie?

HANKA

Ot, panie szanowny, ja prosta kobieta, przez całą tą wojną bez nauki została! A litery to różne są, duże i małe...

WUJ HENRYK

No cóż, w tak razie będziemy się zbierać. Dziękujemy bardzo za gościnę.

(*Otwierają się drzwi, wchodzi do sieni i kuchni kilku mężczyzn, którzy się głośnie spierają*)

GŁOSY:

– To ci!

– A skąd oni? Z miasta? Miastowe są?

IGNAC
Miastowe!

GŁOSY
– A nadadzą siia? Czy aby sie nadadzą?!
– Ignac, no, Ignac, gadaj z nimi prandko!

IGNAC
Jo jestem Ignac. A to moja biętka, Hanka. Hanka, Ignac, jo Ignac, to Hanka...

WUJ HENRYK
O co Wam chodzi, panowie?

PAWEŁ
Do stołu podszedł najstarszy wiekiem gospodarz, przesunął taboret i usiadł. W geście tym było wyraźne zaproszenie i wuj bez słowa uczynił to samo. Patrzyłem na skupione twarze mężczyzn. Poorane, zmęczone, zdawały się niczego nie wyrażać, były jakby wyzute z wszelkich uczuć, a jednak w głęboko osadzonych oczach, w spojrzeniach, które nam ukradkiem rzucali, można było dostrzec napięcie i niepokój.

NAJSTARSZY GOSPODARZ
Sędzia nie może być spośród nas. A Fritz, co mieszkał pod lasem zmarł – będzie – niedzielę temu i niech odpoczywa w pokoju.

GŁOSY (chórem)
Amen

NAJSTARSZY GOSPODARZ
I uradzili my, że pierwszy, co tu się pojawi, jeżeli tylko nie będzie urzędnikiem magistrackim i krewniaków tu nie ma, sędzią być musi!

GŁOSY (chórem)
Mus!

NAJSTARSZY GOSPODARZ
Wasta urzędniki?

WUJ HENRYK
Nie!

NAJSTARSZY GOSPODARZ
A krewniaków tu macie, jo?

WUJ HENRYK
Nie!

NAJSTARSZY GOSPODARZ
To mogą sędzić! Sędziami być mogą!

GŁOSY aprobaty:
No jo! Mogą! Mogą sędzić!

WUJ HENRYK
A to jest jakaś sprawa honorowa?

GŁOSY
Honorowa! Aż strach! Muszą sędzić!

” ...chce pan powiedzieć, że w czasie tej bitwy z Ukraińcami o Lwów pana dziadek strzelał sobie, jak jakiś Szwejk, w powietrze? – Tego nie wiem – odparłem – ale on tak zawsze mówił, bo ta wojna z Ukraińcami to było jego największe zmartwienie – wygramy ją – powiadał – ale jak będziemy z nimi mieszkać w jednym mieście, jak będziemy sobie patrzeć w oczy?

Paweł Huelle, Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala

” Wittgenstein, siedząc koło kominka, parokrotnie przerywał Popperowi i wymachiwał pogrzebaczem, a kiedy ten poruszył problem obowiązywalności zasad moralnych, wybuchnął: „Proszę podać przykład zasady moralnej!”. Popper ripostował: „Nie strasz zaproszonych prelegentów pogrzebaczem”, na co rozeźlony Wittgenstein rzucił pogrzebacz i trzaskając drzwiami, opuścił zebranych.

Paweł Huelle, Ulica Świętego Ducha i inne historie



WUJ HENRYK

A zatem idziemy! Szkoda czasu!

PAWEŁ

Plecaki i narty zostawiliśmy w chałupie Ignaca i Hanki. Mężczyźni wzięli nas w środek i gęsty zapach tabaki, potu i samogonu otoczył mnie nagle jak gęsta, tłusta chmura. Ktoś popijał z butelki, zatrzymując się na chwilę, ktoś inny podsunął mi tabakę, a ja – nieprzyzwyczajony, zacząłem od razu po jej wciągnięciu głośno kichać. Niedaleko za wsią stanęliśmy przed ogromną stodołą, położoną blisko ściany lasu.

GŁOSY

Mateusz! Mateusz! Otwieraj! My są!

PAWEŁ

Wielkie drewniane wrota otworzyły się z jękiem i pośrodku ciemności ujrzeliśmy Mateusza, który zapalał właśnie naf-tową lampę. Z siwą brodą i długimi włosami białymi jak mleko wyglądał na świętego z ikony.

MATEUSZ

Chwała Bogu, że przyszli! Chwała Najwyższemu!

GŁOSY

Na wieki wieków. Na wieki wieków amen, Mateuszu!

PAWEŁ

Światło zataczało coraz szerszy krąg, coraz więcej lamp płonęło teraz żółtym, chybottliwym płomieniem, i w samym środku klepiska ukazała się naszym oczom mała ... arena, wysypana piaskiem. Wokół niej ustawione były drewniane ławy i krzesło wyściełane czerwonym pluszem.

WUJ HENRYK (szeptem, w tle – gwar wielu głosów)

Wygląda to na jakiś wiejski cyrk. W każdym razie, mój chłopcze, zachowaj czujność. Czujność przede wszystkim!

MATEUSZ

Siadajcie. Palić możecie. Nie ma tu siana ani na lekarstwo.

WUJ HENRYK

Chwileczkę, panowie! Chyba należy się nam najpierw jakieś wyjaśnienie? Co to ma być? Walka na pięści? Na broń białą? A może na pistolety? Jeżeli mamy być, tak jak chcecie, sędziami, musimy coś wiedzieć o walczących stronach. O co poszło? O kobiety? O miedzę? O dług nie spłacony? A poza tym, czy nie za mało tu miejsca?

GŁOSY

(wybuchy głośnego śmiechu)

Łi chi, chi, Ł uchu chu! A to powiedział. A to wymyślił? Filozof jaki!

IGNAC

Chłopy, nie trza, nie trza. Jo jestem Ignac, a to są panowie sendziowie. Wasta waszi smijechy weg! Wasta weg!

NARRATOR

Wtedy w kręgu światła pojawił się znów Mateusz – niepostrzeżenie, tak samo jak przed chwilą zniknął. Na jego widok natychmiast zapadła zupełna cisza i wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Mateusz w każdej ręce trzymał wiklinową klatkę, przykrytą ciemnym materiałem. A kiedy postawił je na ziemi i podniósł z nich okrycia, a zwłaszcza, gdy wychynęły z nich łebki kogutów, ze wszystkich gardeł wyrwał się okrzyk radości...

” Cywilizacja chrześcijańska potraktowała ich (Prusów) z taką samą bezwzględnością, z jaką kilka stuleci później dokona zagłady Indian w obu Amerykach. Postępetyczny polegał chyba jedynie na tym, że Indianie – nieliczni i zdegradowani – przetrwali w rezerwach. Prusowie natomiast nie dostąpili tego dobrodziejstwa, znikając ze sceny dziejowej bezpowrotnie.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

” Statystycznie rzecz ujmując – zawsze jest więcej niezadowolonych niż zadowolonych, głodnych niż nasyconych, biednych niż bogatych, niewykształconych i prymitywnych niż oświeconych i subtelnych.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

IGNAC (*krzyczy*)

Oj, Isia, Kasia, Bernatka, oj bandze krwawa jatka!

WUJ HENRYK (*szeptem do Pawła*)

Ci chłopi chyba poszaleli. Gdzie my trafiliśmy?!

PAWEŁ (*odpowiada po cichu*)

Nie wiem, gdzie trafiliśmy wuju, ale coś mi mówi, że teraz nie możemy się już z tego wycofać.

WUJ HENRYK

Tak sądzisz?

PAWEŁ

Nie mamy wyjścia, wuju! O, już się zaczyna!

MATEUSZ

Wasze wielmożności! Bitwa, którą zaczynamy, surowe ma kondycje. Ptak, co pada przed czasem bez tchnienia, przegrywa. Jeśli jednak minie godzina i każdy kur żyw będzie, do panów sąd należy. Który ma piór więcej, który silniejszy, który krwi mniej stracił – ten zwycięzca. Co rzekiecie – święte. Ale sprawiedliwie rzec macie. Tym oto chronometrem, panowie wielmożni, czas mierzyć będziecie. Aby dokładnie, aby akuralnie...

NARRATOR

Przejmując z rąk Mateusza stary zegarek z łańcuszkiem w srebrnej kopercie, wuj Henryk uniósł brew i przetknął ślinę. Ruch grdyki był szybki i gwałtowny. Długi, potyskujący w łagodnym świetle łańcuszek zwiślał teraz między jego palcami jak wahadło, a wskazówki pękatej cebuli pokazywały cztery minuty przed jedenastą. Mateusz szedł wzdłuż belek i podkręcał po drodze knoty kolejnych lamp naftowych, aby lepiej oświetlić arenę. Wreszcie stanął dokładnie pośrodku wysypanego piaskiem koła, klasnął głośno w dłoń i zadeklamował śpiewnie:

MATEUSZ

Zamknijcie odrzwi od zapola
I stańcie tu, wokół gumna!
Niechaj ta walka rozsądzi,
zanim minie roku pora,
kto ma słuchać, a kto rządzić,
kto tu głupi, a kto mądry,
aż po przyszłe zimą gody,
dał narodu świętej gody.
W imię boże, zaczynamy!
W imię boże nie zwlekajmy!

NARRATOR

Ptaki, trzymane do tej pory po przeciwnych stronach areny, natarły na siebie z furią, chłopi zaś wrzasnęli z taką siłą gardel i płuc, że zadrżały deski stodoły.
(*dźwięki walki, okrzyki, hałasy*)

PAWEŁ

Nigdy, nawet w najśmielszej fantazji, nie wyobrażałem sobie walki kogutów w ten sposób. Ptaki w niczym nie przypominały bokserów, którzy w pierwszych sekundach starcia tańczą wokół siebie rozpoznając zręczność przeciwnika. Podobne były raczej do ruskich muzyków, którzy wypiwszy miarkę spirytusu ruszają do boju po śmierć lub zwycięstwo. Szczepiły się ze sobą i tłukły na oślep dziobami, podnosząc na arenie gęsty tuman piaszczystego kurzu.

GŁOSY (*krzyki*)

– Koguciku, zrób mu zyku!

– To je kur a nie knur!

WUJ HENRYK (*półgłosem do Pawła*)

Nie znoszę widoku krwi. Czy wiesz, chłopcze, że takie walki zostały zakazane uchwałą parlamentu, dokładnie już w roku 1849?

PAWEŁ

Ależ wuju! W tym czasie nie obradował żaden polski parlament, bo Polska była pod zaborami!

WUJ HENRYK

Ja mówię o brytyjskim, a ty myślałeś, że o jakim?!

NARRATOR (*trochę tonem sprawozdawcy sportowego*)

Tymczasem czarno-czerwony kur wpił pazury w brązowo-czarnego i siedząc nim jak na worku, tłukł z całych sił przeciwnika po łbie, starał się trafić go w oko i zadawał mu szybkie ciosy w kark. W powietrzu fruwały pióra, a na piasku areny pokazały się ciemne plamy krwi. Wyglądało na to, że to ostatnie chwile brązowo-czarnego. Część mężczyzn wiwatowała już z tej okazji, sięgając po butelki z okowitą. Inni zaciskali palce w milczeniu lub ogryzali paznokcie. I nagle stała się rzecz niezwykła: kogut brązowo-czarny wykonał błyskawiczny obrót i oswabadzając się z uścisku przeciwnika zadał mu kilka ciosów w brzuch. Czarno-czerwony, odrzucony z impetem na brzeg areny, nie bardzo pojmował, co się właściwie przed chwilą wydarzyło. Brocząc krwią stał jak nieprzytomny, a z jego dzioba wydobywało się żałosne rżęzenie.

GŁOSY

– Huź, huź!

– Teraz go! Teraz!

– Ostrogi! Czas na ostrogi!

PAWEŁ

Spojrzałem na wuja Henryka. Jego twarz pobladła jeszcze bardziej. Miał suche, spierzchnięte wargi i co chwila zwilżał je językiem i nerwowo przetykał ślinę. A kiedy założono już kogutom ostrogi i srebrne półksiężycy zaśniły pełnym blaskiem w żółtym kręgu lampy, i gdy ptaki, znów gotowe

do walki, pochylając łebki do przodu przebierały pazurami w piachu, wuj Henryk zasłonił oczy dłonią i zachwiał się na krześle, jakby przez ten cały czas pił z chłopami wódkę i jakby ta wódka akurat w tej chwili podeszła mu do gardła.

– Czy coś nie tak, wuju?

Zaprzeczył ruchem głowy. W dalszym ciągu jednak nie patrzył na arenę, tylko w dół, na cyferblat ściskanej w prawej dłoni srebrzystej cebuli, śledząc nerwowo leniwy ruch sekundnika.

NARRATOR

A w ptaki wstąpił nowy duch. Tańczyły wokół siebie coraz prędzej, wymieniały w doskoku błyskawiczne ciosy, padały na piasek, znów się podnosiły i dalej atakowały z impetem. Coraz częściej dochodziło do zwania w locie. Przyczepione ostrogi darty wówczas pióra, wyszarpywały skórę i kawałki mięsa. Na piasek spływało coraz więcej krwi, a ryk mężczyzn przetaczał się pod ciemnym sklepieniem stodoły jak burza.

PAWEŁ

Usta wuja Henryka drżały, a jego oczy, cały czas przykute do zegarka, były nieruchome jak w letargu. Wuj nie patrzył na arenę, tylko ścisnął coraz mocniej chronometr, a z jego czoła spływały teraz dwie strużki potu.

NARRATOR *(dalej w stylu sprawozdawcy sportowego)*

Kogut czarno-czerwony stracił połowę grzebienia i lewe oko. Czarno-brązowy natomiast silniej broczył krwią i kulał na prawą nogę. Twarze chłopów płonęły. Z ostrym zapachem nafty i oddechów mieszał się teraz zapach krwi – dziwnie słodki i mdlący. Srebrne ostrogi, oklejone piórami i piachem, nie błyszcząły już tak srebrzyście.

PAWEŁ

Wuj Henryk cały czas wpatrzony w kieszonkowy zegarek w swojej ręce, razem z nim odmierzał teraz upływające sekundy i minuty, cały drżąc i pocąc się coraz obficie. Wyglądał tak, jakby to on walczył na tej piaskowej arenie o życie.

NARRATOR

Koguty znów ruszyły na siebie, zderzyły się w powietrzu, lecz zamiast spaść zaraz po wymianie ciosów, wzbiły się w górę ku belkom i krokwiom, tam gdzie kończy się smuga światła i panowała ciemność. Pond głowami mężczyzn zazgrzytały cienko ostrogi, zafurkotały pióra, można było usłyszeć głośnie, rozdzierające „krik-kikirik”, po czym oba ptaki, tworząc jeden kłęb o dwóch głowach i czterech skrzydłach, runęły w piasek, bryzgając we wszystkie strony krwią. Wtedy na arenę wkroczył Mateusz, pochylił się nad kogutami, chwycił ptaki za nogi i unióś je do góry, na znak, że oba są martwe. W stodole powiało ciszą jak w czasie podniesienia. Lecz już po chwili chłopci otoczyli Mateusza, dotykali kogucich łbów, pokrwawionych skrzydeł, nie dowierzając temu, co się stało.

GŁOSY

– wasz padł pierwszy, nasz był żywy, kiedy jeszcze spadał!
– Nieprawda! To wasz był martwy, już w powietrzu! Nasz ino zaniósł go w górę i dopiero wyzionął!

WUJ HENRYK

Panowie, przestańcie! One zginęły jednocześnie!

PAWEŁ

Zanim chłopci zdążyli cokolwiek powiedzieć i, zanim zdążyli oprotować ten werdykt, wuj Henryk podniósł się ciężko z krzesła, włożył odruchowo srebrną cebulę do kieszeni spodni, uczynił krok w stronę wyjścia i... padł na arenę jak

” *Może wierzył w Boga – panna Ciwle spojrzała na mnie pytająco – jak ktoś ma to w sobie głęboko, nie na pokaz, no to nawet jak wpierniczają go lwy, uważa, że mimo chwilowych trudności, sprawy idą zasadniczo w dobrym kierunku.*

Paweł Huelle, Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala

” *Narodowość podniesiona do rangi religii zbiorowej w polityce nader często kończy się aneksją i zbrodnią, w sztuce oznacza uwiad i jałowość.*

Paweł Huelle, Ulica Świętego Ducha i inne historie

długi. Klęknąłem przy nim i sprawdziłem puls. Był wyraźnie słabszy, serce jednak – na szczęście – biło równomiernie.

MATEUSZ

Trzeba go szybko do chałupy zanieść! Hej, Kuba, Ignac, Walenty, ruszcie się, a żywo!

GŁOSY

Gorzałki mu dać, gorzałeczki! Zawsze pomaga!

NARRATOR

Trzej mężczyźni ułożyli wuja Henryka na wielkim kozuchu i wynieśli ze stodoły. Pozostali podążali za nimi, formując żywiołową procesję. Na przodzie niesiono dwa martwe ptaki, uwiązane do długiego drąga. Dalej szli chłopcy z zapalonymi pochodniami. Maszerujący z tyłu bili w blachy, pokrywki i drewniane kołatki. W oknach chałup pojawiły się twarze kobiet i dzieci. W obejściach czekały psy, a na skraju osady odezwała się pożarowa syrena.

PAWEŁ

Wkrótce wuj Henryk odzyskał przytomność i – ułożony na łóżku w izbie Ignaca i Hanki – powoli wracał do siebie. Ja tymczasem siedziałem w kuchni, częstowany przez chłopów gorzałką. Pierwszy kieliszek nalał mi Ignac. A ja tylko słuchałem, że po wojnie przybyły tu zza Buga Bose Antki i zajęły parę tych pustych chałup, do których nigdy nie wrócili ci, co poszli na front.

IGNAC

I zaraz se wybuchła sprzeczka, o co, to nikt dzisiaj już nie pamiento, ale polata się krew. Tedy jo! Karpiuki za-biły Bieszka. A my z zemsty podpalili chałupę i wszystkie Karpiuki upiekły się nocą jak gołębice.

PAWEŁ

Przy drugim kieliszku trup stał się już gęsto, po wsi nocą szalał czerwony kur i było bardzo źle. A gdy wychylałem trzeci kieliszek, do wsi przybył Mateusz.

IGNAC

Chocia on ze Wschodu, to człek święty: ziołami ludzi i nasze zwierzynta leczy, bez żadnej różnicy, czy kto z Kaszubów, czy zza Buga.

PAWEŁ

Czwarty kieliszek wypilem już jednym haustem, bo coraz bardziej mi ta wiejska gorzałka smakowała i coraz bardziej mi się podobało. Przy tej kolejce dowiedziałem się, że wszyscy ze wsi zebrali się na Mateuszowe wezwanie i usłuchali go...

IGNAC

Bo jakże nie usłuchać świętego człowieka?

NAJSTARSZY GOSPODARZ

I odtąd w Pięknym Polu zamiast ludzi walczyły koguty i we wszelakiej zwadzie czy pyskówce ten musiał ustąpić, czyj kur przegrał. Bo i przysięgę wcześniej złożyli, że będzie to dla nich jak boży sąd.

PAWEŁ

Przy piątym kieliszku wspomniano najstynniejsze koguty, lecz po szóstym zapanowała ponurość...

IGNAC

Bo co byndzie dalej? Kto komu teraz ma ustępować?

NAJSTARSZY GOSPODARZ

Bo nigdy jeszcze tak się zdarzyło, aby dwa kury za jednym zamachem padły.

PAWEŁ

A kiedy piłem kieliszek siódmy, chłopcy pograżyli się w zagadkowej zadumie i melancholii, bo co tu gadać, zwad prawdziwych od dawna już nie było, a ta walka, na którą czekali cały rok, na którą chowali najlepsze koguty, i na którą przyjmowali zakłady, choć przyniosła im tyle uciechy i emocji, czy jednak mogła wystarczyć?

IGNAC

Bandze trzeba na nowo komu łeb rozbuchać!

PAWEŁ

I nalał mi ósmy kieliszek samogonu. Butelka była już prawie pusta, a wuj powoli podniósł się z postania.

WUJ HENRYK

Panowie, ten młodzieniec jest pod moją opieką. I proszę go już więcej nie częstować, bo jeszcze dziś muszę z nim wrócić do domu.

PAWEŁ (*już zawiany*)

Wuju, ale mi bardzo smakuje...

WUJ HENRYK

Trzeba walczyć ze złymi skłonnościami. Rozum zwycięży siłę, wódka zwycięży każdego. Zbieramy się, chłopcze! Najwyższy czas!

PAWEŁ

Zakładaliśmy narty przed chałupą Ignaca, a chłopcy pokazali nam drogę: najpierw doliną prosto, potem obok Diabelskiego Kamienia w lewo, skręcić za drewnianym mostkiem nad potokiem – w stronę Kamiennych Kręgów – a potem już wzgórzami i na końcu – prosto w dół Samborową Doliną.

WUJ HENRYK

Wszystko się zgadza...

PAWEŁ

Powtarzał wuj co chwila, gdy mijaliśmy kolejno orientacyjne punkty.

WUJ HENRYK

Wszystko idealnie się zgadza.

PAWEŁ

A potem nie mówił już nic. Do chwili, kiedy stanęliśmy w końcu na szczycie ostatniego wzgórza, a w oddali widzieliśmy już migające światła naszego miasta.

WUJ HENRYK

Wiesz, muszę ci się do czegoś przyznać. Nigdy nie mogłem znieść widoku krwi. Podczas powstania musiałem zamykać oczy. Nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy biec pod ogniem z zamkniętymi oczami. Tyle razy...

PAWEŁ

I ruszyliśmy na nartach w dół podnosząc za sobą cienki jak welon obłok śniegu. Tak zakończyła się nasza nocna wyprawa z wujem Henrykiem.

NARRATOR

Na tym jednak nie kończy się ta historia...

(pukanie do drzwi)

PAWEŁ

Pięć miesięcy później, w połowie maja, wuj Henryk znów zapukał w południe do naszych drzwi. Miał na sobie battle dress z demobilu, krótkie spodnie safari w wojskowym stylu, solidne buty traktory i wełniane skarpety wywinięte na kostki.

– A hoj, przygodo! Czyżby kolejna wyprawa?

WUJ HENRYK

Wiesz, te koguty nie dają mi spać. Pójdiesz tam ze mną?

PAWEŁ

Pogoda była piękna. Szliśmy przez bukowe polany, przez zagajniki i sosnowy bór, w powietrzu pachniało ziołami i żywicą, śpiewały ptaki, lecz ten idylliczny nastrój wcale nie poprawił humoru wuja. Przez całą drogę milczał, co chwila spoglądając uważnie na mapę.

NARRATOR

Drewniany mostek odnaleźli bez trudu. Podobnie, jak dwa kilometry dalej – wielki, narzutowy głaz, nazywany przez miejscowych Diabelskim Kamieniem. W końcu znaleźli dolinę, w której powinno być Piękne Pole. Ale nigdzie nie było nawet najmniejszego śladu zabudowań. A w miejscu, gdzie powinna znajdować się drewniana stodoła, w której walczyły zimą koguty, rośla tylko dawno zdziczała jabłonia – od lat nie szczepiona i nie przycinana...

” Na kartach jego (Faulknera) dzieł Ameryka nie znalazła amerykańskiego uśmiechu, amerykańskiego optymizmu, amerykańskiego postępu ani amerykańskiej higieny psychicznej.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

” Tradycyjny wenecki festiwal przekształcił się w nieustające święto masek, które – jak szminka na twarzy starej kurtyzany – ukrywać miały gorzki finał: uwiąd i rozpad.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

” W Italii wszystko jest takie, jakie być powinno: niebo, ziemia, drzewa, zwierzęta, twarze ludzi... A tu, na Północy?

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

PAWEŁ

Może to było jednak gdzie indziej...

Wuj Henryk

To ziemia, a nie morze!

NARRATOR

Wuj Henryk wyciągnął ze swojego chlebaka stare mapy oraz wyblakłe odbitki jeszcze starszych map i pokazywał Pawłowi wszystkie swoje wykresy, obliczenia, szkice i trasy, które wielokrotnie wytyczał na tych mapach przez ostatnich pięć miesięcy.

WUJ HENRYK

Mój chłopcze, nie uwierzysz, ale byłem tu już kilkanaście razy od czasu naszej przygody i dokładnie przebywałem całą tę okolicę. Pytałem też znajomych leśniczych, przewodników turystycznych i historyków. I nikt nigdy nie słyszał tu o wsi, która nazywała się Piękne Pole ani tym bardziej Szenfeld. I co ty na to?

PAWEŁ

Na pewno musi być jakieś logiczne wyjaśnienie tej historii. Ja do dziś pamiętam doskonały smak tamtej gorzałki.

WUJ HENRYK

Bo czas zatrzymany smakuje najlepiej.

PAWEŁ

Wtedy zobaczyłem w jego dłoni okrągły, kieszonkowy zegarek z łańcuszkiem w srebrnej kopercie.

WUJ HENRYK

Chciałem go zwrócić, ale jak, gdzie i komu?

PAWEŁ

I wciąż chodzi?

WUJ HENRYK

Stał, dokładnie pięć miesięcy temu. Próbowałem go nakręcić. Nic. Zanośiłem go do kilku starych zegarmistrzów. Każdy z nich zapewniał, że naprawi. Ale nikomu się nie udało go uruchomić. Wciąż pokazuje dokładnie tę samą godzinę, w której zginęły te dwa koguty...

PAWEŁ

Wuj miał rację. Czas zatrzymany smakuje najlepiej. I nigdy się nie starzeje. Tak samo jak wuj Henryk – w swoim bat-tledressie, na tych samych drewnianych nartach skręca właśnie teraz w stronę Pięknego Pola. A może to jednak Schenfeld?

Osoby:

Narrator

Wuj Henryk

Paweł

Ignac

Hanka

Mateusz

Opracowanie Wojciech Fułek

” Niedawno amputowano mu nogę, nie mógł więc  jak wymagał tego regulamin – stanąć przed plutonem egzekucyjnym. Dlatego Anglicy, którzy – jak wiemy – starają się być dżentelmenami w każdej sytuacji, najpierw posadzili jednonogiego Jamesa na krzesło, a następnie zabili go salwą karabinową, już zgodnie z przepisami prawa.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

” Pokonanym przysługiwało prawo do lamentu nad własną klęską, lecz nigdy prawo do uznania własnej przegranej za objaw moralnej wyższości.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*

” ...oprócz jasnej duszy potrzebne są jeszcze zdrowie, siła, dostatek i odpowiednie listy. Polecające.

Paweł Huelle, *Talita*

ziaja

KOZIE MLEKO

MLECZNE OTULENIE



Paweł Huelle w teatr zapatrzony

Tomasz Miłkowski

Prozie dał Huelle najwięcej, począwszy do debiutanckiej powieści Weiser Dawidek, która stała się jego znakiem rozpoznawczym i furtką do międzynarodowej pozycji literackiej. Zachwycił oryginalnością wyobraźni i śmiałością w odkrywaniu tajemnic przeszłości. Powieść Pawła Huelle o dojrzewaniu w trudnych czasach stalinizmu i powojennych kompleksów, osnuta wokół niewyjaśnionego zaginięcia żydowskiego chłopca w Gdańsku latem 1956 roku, stała się poważną próbą rozliczenia z przeszłością.



Paweł Huelle *Kto mówi o czekaniu?* reż. Krzysztof Babicki, na zdjęciu Dorota Kolak i Stanisław Michalski, Teatr Wybrzeże 1995 | fot. Ewa Grabowska-Sadłowska



Günter Grass *Idąc rakiem*, adaptacja teatralna Paweł Huelle, reż. Krzysztof Babicki, Teatr Miejski w Gdańsku, Centralne Muzeum Morskie 2012 | fot. archiwum

Opowieść o doświadczeniu z lat młodości bohatera poprowadził pisarz z dwóch perspektyw: oficjalnie toczonego dochodzenia, bezpośrednio po zająciu, które nie przyniosło jednoznacznych wyników, i prywatnego śledztwa podjętego po latach przez szkolnego kolegę Dawidka, Hellera (zarazem narratora), usiłującego dociec prawdy. Narrator próbował zrekonstruować czas miniony, w którym dziecięce zabawy sąsiadują z dramatycznymi doświadczeniami na Wybrzeżu, mrokiem okupacji, stalinizmem. Szczególne wrażenie czyni postać Żółtoskrzydłego, uciekiniera z domu psychicznie chorych, głoszącego przerażające prorocтва w stylu Ezechiela. Spotkanie z upiorami dzieciństwa nie przyniosło jednak ukojenia – niepokojące pytania o rodowód generacji pozostawił pisarz bez odpowiedzi.

Powieść doczekała się wielu wznowień i przekładów, a także ekranizacji (*Weiser*, reż. Wojciech Marczewski, 2001), próbowano ją z dobrym skutkiem przenieść do teatru (chwalony spektakl dyplomowy w Olsztynie) i radia. Zapewne prozie Paweł Huelle dał najwięcej, ale był też blisko związany z teatrem.

W Teatrze TV widzieliśmy ponad 20 lat temu udaną adaptację *Srebrnego deszczu* (reż. Jerzy Krysiak, 2000), będącej świadectwem gdańskich fascynacji pisarza ballady o spletanych losach kilku dawnych i obecnych mieszkańców jego ukochanego miasta. W jednym z wywiadów tak o tym mówił:

Już w dzieciństwie poszukiwanie niemieckości Gdańska było dla mnie czymś zarazem przerażającym i pasjonującym. Wychowywałem się w straszliwej propagandzie antyniemieckiej, a gomułkowska szkoła też się do tego dokładała. Moja rodzina tuż przed wojną i podczas wojny prześladowana była przez nazistów, ale w domu nie wpajano mi nienawiści do Niemców, zaś gdańscy „autochtoni” opowiadali mi zupełnie inną historię miasta niż ta, której musiałem się uczyć w szkole – podział na oprawców i ofiary zaczął się więc okazywać problematyczny. To dało początek moim poszukiwaniom.

Wizyta niejakiego Winterhausa w starej gdańskiej kamienicy u obecnego domownika w jego niegdysiejszym mieszkaniu daje tu pretekst do ukazania niełatwych związków Polaków i Niemców. A jednak to tylko tło do refleksji nad przemianami, do próby wejrzenia we wnętrze starzejącego się bohatera, poszukującego w przeszłości ważnych dla siebie śladów. Jerzy Krysiak z talentem przełożył zamysł autora na język telewizyjny, tworząc nastrojową opowieść o uczuciach, namiętnościach, po części już wygasłych, po części nadal żywych. Bardzo mu w tym pomogli aktorzy, zwłaszcza Władysław Kowalski (jako starzejący się mężczyzna, borykający się ze wspomnieniem niespełnionej miłości) i Leon Niemczyk (przekonujący jako gość z Niemiec, pochłonięty ideą poszukiwania ukrytego skarbu).

Wkrótce potem zobaczyliśmy *Stół* (2000), poetycką opowieść o poszukiwaniu szczęścia, debiut reżyserski Piotra Mularuka, również autora scenariusza, opartego na opowiadaniach *Stół*, *Winniczki*, *kałuże*, *deszcz*, *Przeprowadzka* z tomu *Opowiadania na czas przeprowadzki* (1991).

Ale związki Pawła Huellego ze sceną sięgają jeszcze wcześniejszych lat. Można zaryzykować twierdzenie, że przewodnikiem po teatrze był dla pisarza od dawien dawna Krzysztof Babicki. Ich znajomość, trwająca od lat studenckich, zaowocowała wieloma wspólnymi przedsięwzięciami. Powstało dzięki temu około dwudziestu spektakli. Babicki zamawiał, w pewnym sensie inspirował Huellego do pisania tekstów oryginalnych i scenariuszy dla teatru, a potem je reżyserował czy to w Lublinie, czy w Gdyni, choć zaczęło się od Teatru Wybrzeże, w którym wystawił już w roku 1995, a więc niemal 30 lat temu sztukę Pawła Huellego *Kto tu mówi o czekaniu*, nawiązującą nie tylko w tytule do sławnego *Czekając na Godota* Samuela Becketta.

Nawiązania do dzieł lub biografii wybitnych artystów miało stać się znakiem firmowym autorskich poszukiwań Huellego na terenie teatru – w jego sztukach mieli pojawić się między innymi Witold Gombrowicz czy legendarny zespół The Beatles. Chętnie sięgał pisarz do prawdziwych wydarzeń, przetwarzając opowieści reporterskie na język sceny, jak to było w przypadku sztuki o buncie betanek w Kazimierzu Dolnym czy dramatu o katastrofie okrętu podwodnego „Kursk”. Mierzył się z ważnymi dziełami literackimi, między innymi Güntera Grassa czy Karola Olgierda Borchardta.

Dobry duet wybitnego pisarza i wybitnego reżysera owocował pięknie, od początku zapowiadając sukcesy. Ich współpraca polegała na wzajemnym zaufaniu i wzajemnym szacunku do uprawianej profesji. Mówił o tym wprost Paweł Huelle już przed ich pierwszą premierą:

Autor już swoje napisał. Tutaj zaczyna się praca reżysera. Nie mam doświadczenia scenicznego i jakiegokolwiek sugestie z mojej strony mogłyby jedynie sprawie zaszkodzić, a nie pomóc. Pojawiałem się na próbach, aby dyskretnie podglądać i... uczyć się. Mam zamiar w przyszłości napisać jeszcze kilka sztuk dramatycznych, więc z ciekawością oglądałem, jak buduje się spektakl na scenie. Autor nie powinien się wtrącać. Ja zresztą mam pełne zaufanie do Krzysztofa Babickiego.

I tak to wyglądało przez całe lata, bo trzeba tu przypomnieć, że pisarz przez wiele lat związany był kontraktem z Teatrem

Miejskim im. Witolda Gombrowicza, najpierw jako kierownik literacki (2011-2015), a potem jako dramaturg (od 2016). Wywiązywał się z tych obowiązków wzorowo. Jeden z moich przyjaciół z Trójmiasta powiedział, że to były uczciwie zarobione pieniądze.

Trudno dzisiaj wyrokować, czy i które z utworów dramatycznych Huellego przetrwają próbę czasu i znajdą nowych realizatorów. Jedno jest pewne: razem z Babickim stworzyli co najmniej kilka spektakli, które będzie się długo pamiętało. Mam na myśli inscenizacje na pokładzie „Daru Pomorza”: *Idąc rakiem*, *Żółta łódź podwodna*, *Kursk* i ostatnią ich wspólną pracę – *Jądro ciemności* wg powieści Conrada.

Nie sposób na koniec nie wspomnieć chociaż o bezprzykładnej odwadze Pawła Huellego, który nigdy nie uchylał się od zajmowania jasnego moralnie stanowiska. Tak było w przypadku sprawy księdza Henryka Jankowskiego. Tak było też wtedy, kiedy pracował nad tekstami odnoszącymi się nie tylko do historii, ale i współczesności polskiej, jak w dramacie *Sarmacja* czy sztuce o zbuntowanych betanach.

Na pewno zapamiętam też sztukę *Kąpielisko Ostrów* tchnącą duchem Czechowa, napisaną specjalnie dla lubelskiego teatru Osterwy na zamówienie Krzysztofa Babickiego, a potem zrealizowaną w telewizji przez Macieja Englerta. Po lubelskiej premierze notował Andrzej Molik: „udał się autorowi *Weisera Dawidka* zabieg niezwykle: korzystając z – że się tak wyrażę – Czechowskiej trampoliny, wybił się w *Kąpielisku* ku kwestiom bardzo dzisiejszym i bardzo polskim”.

Debiut sceniczny Huellego wspomnianym dramatem *Kto mówi o czekaniu?* nie został przyjęty z entuzjazmem. Jacek Sieradzki pisał kąśliwie: „nie ma sensu stosować taryfy jak na garbatego: jego debiutancka sztuka nie okazała się olśniewającym wydarzeniem”. Alina Kietrys obeszła się z debiutantem bardziej powściągliwie i miała rację: „Huelle bardzo zręcznie operuje symbolami, porusza się z ogromną swobodą w literackiej konstrukcji, ale również nie zaskakuje”. Miał rację także Babicki, że wierzył w talent i intelektualną głębię utworów Huellego i po niezbyt przyjaznych recenzjach zdecydował się przenieść jego debiutancki utwór do teatru telewizji. Może dzięki temu ich współpraca rozkwitła i przetrwała tyle lat. A że Paweł Huelle naprawdę kochał teatr niech świadczy jego udział w zabawnym wspominkowym widowisku wg tekstów Jerzego Afanasiewa *Cyrk Rodziny Afanasieff Bis* (Teatr Miniatura, 2004), w którym pojawił się w roli Dottore i – jak potwierdzają świadkowie – z wdziękiem rapował.

Tomasz Miłkowski

”

...czas to podstępny złodziej. Przychodzi niepostrzeżenie i zabiera wszystko. Ale nie od razu.

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*



” *Bóg - gdyby istniał - nie mógłby orzekać, ponieważ zna jakoby nasze losy od narodzin po śmierć. Skoro wszystko jest przesądzone, zapisane, jakimże absurdem byłoby wymierzanie nam sprawiedliwości?*

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*

Nienapisane opowieści

Wspomnienie o Pawle Huelle

Leszek Biernacki

Pozostały w pamięci obrazy i wspomnienia z wielu lat, ze spotkań i rozmów telefonicznych, nieraz zaskakujących. Nie sposób wszystkie opisać. Wiem, że „szумы, zlepy i ciągi” w śpiewających ogródach u Pawła Huelle, będą mi towarzyszyć do końca życia.

Wciąż będę nastuchiwał jego głosu, bo tak nagle zamilkł, tyle spraw pozostało niezafatwionych. Już nie zadzwoni i nie zabrzmi jego głos: „– Co tam u ciebie kochany?”. Wiem, wiem, każdego czeka koniec, nigdy wszystkiego przed końcem nie uda się zakończyć, ale dlaczego nie domknięte zostały te, które były tak ważne dla niego, jak i dla wszystkich jego znajomych, oraz czytelników? Jego twórczość literacką wielu już opisywało, o nienapisanych opowieściach nikt. Jego stwierdzenie, że „dobra literatura to sztuka pamięci” dotyczyło także historycznych wydarzeń. Mówił wprost, że nie wolno o nich zapomnieć, o tym jak było naprawdę, bo życie wymaga prawdy. Trochę o tym tu wspomnę.

Nie ułożę mojej opowieści chronologicznie. Zacznę od środka, od długiej podróży z Pawłem z Gdańska do Warszawy w 2012 r. Jechaliśmy wówczas do pałacu prezydenckiego na uroczystość odznaczenia orderem za działalność opozycyjną w czasach PRL. W samochodzie żartowaliśmy, że jedziemy na ukrzyżowanie. Jechali z nami Basia Hejcz i Andrzej Kasperek. Razem łatwiej było cofnąć się w czasie, znów być młodym i wspominać. Ja z Pawłem siedziałem z przodu, a Basia, która w sierpniu 1980 r. nie bała się brać udziału w strajku, od czasu do czasu za plecami piszczała i prosiła bym zwolnił. Tłumaczyłem, że poza miastem można jechać szybciej, ale ona nieprzyzwyczajona. Więc zwalniałem.

Cały czas rozmawialiśmy. Głównie o teraźniejszości, również o literaturze i znajomych. Dopytywał mnie, jak idzie pisanie książki o przedsierpniowej opozycji, oraz późniejszych czasach, że może bym powieść, lub opowiadania napisał. Odpowiadałem, że zbyt cenne jest dla mnie spisanie wspomnień ludzi, opisanie naszej historii taka jaka była. Przecież, jak nie pozostanie spisane świadectwo, to tak jakby nas nie było... Mówiłem, że on ma kompetencje do pisania powieści i opowiadań, bo przecież jego literatura to prawdziwe perły, to może napisać o naszym pokoleniu Kolumbów, o tym, co z niego zostało. Paweł miał siłę, by w pamięci zbiorowej utrwalić naszą przeszłość, nie ja. Ten temat powracał wielokrotnie przez wszystkie lata, aż do



Legitymacja Pawła Huelle Biura Informacji Prasowej Solidarności (BIPS) z 1981 r.
| archiwum L. Biernackiego

jego śmierci. Wiele razy sobie dokuczaliśmy, że wciąż o tym rozmawiamy, a efektów nie widać. Paweł od czasu uroczystości w Warszawie przymierzał się w myślach do takiej powieści, która w jakiś sposób byłaby portretem pokolenia. Zaprosiłem na uroczystość do Warszawy Angelikę Daroszewską, szefową NZS na UG w 2012 r. W pałacu prezydenckim, już po udekorowaniu orderami, gdy podszedł do nas Donald Tusk, wywołałem ją na środek, przedstawiłem i przy wszystkich wpiąłem jej mój znaczek NZS z 1981 roku w ubranie, mówiąc, że to na znak ciągłości, że to stary NZS przekazuje obecnemu NZS nasze ideały. Burzliwe oklaski. Ten znaczek miałem wpięty w garnitur, gdy dekorował mnie prezydent Komorowski. Znaczek był dla naszego NZS, nie dla konkretnej osoby.

Uroczystość w pałacu była okazją do spotkania się całej ferajny, tej spod stoczni gdańskiej w 1980 r., oraz lat wcześniejszych i późniejszych. Ani Paweł, ani ja, nie żałowaliśmy swojej decyzji. Obaj dostaliśmy Krzyże Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski. Tego dnia odznaczenia odebrało około 20 naszych koleżanek i kolegów. Paweł, niestety, po uroczystości zniknął. Uprzedzał wcześniej, że musi się spieszyć na jakieś literackie spotkanie gdzieś w Polsce. Nie wylądował wraz ze wszystkim w kawiarnianym ogródku. Zamiast niego do domu odwoziłem Angelikę. W przedziwny sposób,



Na ławeczce przed stoczną w 1980 r., od lewej: Ewa Graczyk, Paweł Huelle, Andrzej Friedel i Marek Sadowski | Fot. nn

za sprawą wymiany osób w samochodzie, splótł się czas obecny z przeszłością.

Na początku 2011 roku rozważyłem z Pawłem, czy występować z wnioskami o przyznanie krzyży zasługi za działalność w opozycji. Decyzja nie była prosta. Przecież nie dlatego działaliśmy, by później wypinać piersi do orderów, jak ci, których dekorowano w czasach PRL. Przeważało chyba to, że na te orderzy rzuciły się wcześniej osoby związane z PiS, z tzw. drugiego NZS. Wykorzystali powiązania z bliźniakami Kaczyńskimi, by sobie przyznać najwyższe rangę. Jednocześnie była przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego lansowana nieprawdziwa teza, że to oni byli prawdziwymi bohaterami studenckiej opozycji. Konsultowałem z innymi i Pawłowi zrelacjonowałem, że koledzy chcieliby jednak dostać odznaczenia, którym długo byłem niechętny, ale się ugiąłem. Paweł też początkowo niechętny zmienił zdanie. Z zafałszowywaniem historii nie mogliśmy się pogodzić. W czerwcu 2011 r. zebrałem i wypełniłem wszystkie wnioski orderowe, które wysłałem do kancelarii prezydenta. Przez wiele miesięcy nie było żadnej odpowiedzi, aż tu nagle, po wielu miesiącach, może roku, wiadomość z Belwederu, że założycieli pierwszego NZS z Gdańska odznaczają w rocznicę Sierpnia '80 w 2012 r.

Znajomi uprzedzali mnie, że Paweł niezbyt angażuje się w przypominanie dawnych lat, że niechętny jest „martyrologii i kombatanctwu”. To była prawda, ale mnie zapewnił, że ma do mnie pełne zaufanie i jak coś zaproponuję, to w to wejdzie. Takie samo zaufanie miałem do niego. Pierwszy raz namówiłem go na „kombatancką” imprezę 9 czerwca 2007 r. w klubie studenckim UG „Wysepka”, na osiedlu domów studenckich przy ul. Polanki. Przed imprezą zadzwoniłem do niego. Mówię mu, że mija 25 lat odkąd zorganizowaliśmy się w stanie wojennym w podziemiu, że robię spotkanie, że proszę by przyszedł. Ucieszył się. Odpowiedział, że oczywiście, że kiedy, o której.

„Ławeczki” przy bramie stoczni podczas strajku w sierpniu 1980 r. W środku studenci, którzy założyli NZS, okupują trzy ławeczki. Pierwszy z prawej w tej grupce to Andrzej Zarębski w białej koszuli, stoi tyłem chyba Jacek Jancelewicz, za nim widać kawałek Pawła Huelle, obok niego siedzą Alina Żulpo i Basia Hejcz, za którymi widać mały kawałek Marka Sadowskiego. Fot. Jacek Wcisło.

To było, mimo wszystkich braków, bardzo pozytywne spotkanie z bardzo ważnym postanowieniem na przyszłość. Pierwsze, na którym byli założyciele, współzałożyciele i działacze pierwszego w kraju NZS, oraz kilku z tzw. II NZS.

” *I zamiast mówić cokolwiek, zamiast złorzeczyć i przeklinać, pomyślisz, że wszystko, co oglądały twoje oczy, i wszystko, czego dotyczyły twoje ręce, dawno już rozsypało się w proch.*

Paweł Huelle, Weiser Dawidek

Razem około 30 osób. Najbardziej utkwiła mi w pamięci wymiana zdań pomiędzy mną, Andrzejem Zarębskim i Pawłem Huelle. W skrócie opowiadałem jak doszło do powołania komitetu założycielskiego NZS UG, że początkiem wszystkiego był tekst *Apelu* o zakładanie niezależnych organizacji studenckich z 27 sierpnia 1980 r., ogłoszony i kolportowany przed bramą strajkującej stoczni gdańskiej. Tłumaczyłem, że sam byłem w środku stoczni, że jeździłem do domu, wywoływałem zdjęcia i przywoziłem z powrotem na strajk do chłopaków ze straży stoczniowej i Arama Rybickiego, a oni pchali je w głąb Polski. Nie wiedziałem, że w tym samym czasie przed bramą rodzi się idea NZS.

Przypominałem, że 2 września na wiecu na Wydziale Mat-Fiz-Chem *Apel* został po raz pierwszy odczytany publicznie przez Huellego, którego dlatego można nazywać ojcem NZS. Na to z drugiej strony stołu odezwał się Zarębski: – Tak, tak, on czytał, ale ja wszystko napisałem! Paweł w śmiech, ale nie zaprzeczył. Jak to było z końcowym napisaniem wszystkich punktów już nic innego nie ustalę. Niech będzie, że końcową wersję spisał Andrzej. Ale sam tekstu nie wymyślił. Pracowali wspólnie, najbardziej intensywnie on z Pawłem. To ojcowie założyciele. Jancelewicz, student historii, który też wziął udział w naradach na ławeczce, a później pierwszy przewodniczący NZS, potwierdził, że cała odpowiedzialność za treść, ortografię i interpunkcję, spadła na polonistów. Było ich pod stocznia kilkoro: poza Andrzejem i Pawłem byli jeszcze Rysiek Grabowski, Andrzej Friedel, Szymon Karolewski i Marek Sadowski. Swoje trzy grosze dorzucili jeszcze historycy Donald Tusk i Jancelewicz, oraz studentki pedagogiki Basia Hejcz i Alina Sadowska (Żulpo). Paweł mówił mi, że napisanie *Apelu* do studentów o tworzenie niezależnej organizacji, było: „prawie niewykonalne, bo zabrakło się za to kilku polonistów i każdy obstawał przy swoim stylu i pisowni”.

W czasie jazdy do Warszawy Paweł przypominał atmosferę spod stoczni, gdzie godzinami czekało się na nowe informacje, jak działała „poczta rowerowa”, którą zorganizował razem ze swoim przyjacielem Andrzejem Friedlem. Rozwożenie po strajkujących przedsiębiorstwach ulotek i biuletynów strajkowych opisał wiele lat temu. Wyglądało to następująco: „[...] Zajeżdźnia tramwajowa, baza Transbudu, fabryka łożysk kulkowych, a potem farby i lakiery już w Oliwie – to była nasza pierwsza trasa. Wszystko szło sprawnie i cichutko: na każdej bramie ktoś z opaską odbierał od nas porcję biuletynów, czasem zapalaliśmy wspólnego papierosa, gadając ciągle o tym samym: czy wreszcie z Warszawy przysłą upoważnioną delegację, żeby zaczęły się rozmowy nie o podwyżkach, ale o wolnych związkach zawodowych, których nie miał nikt od Łaby do Władystoku [...]”. Dziś przez te miejsca przebiegają ścieżki rowerowe. Któraś z nich mogłaby być im. Pawła lub „Poczty rowerowej”, albo też tą trasą można by urządzać miejskie wyścigi rowerowe amatorów.

Atmosfera sierpniowego strajku, tamte wydarzenia, wbiły się w pamięć wszystkim, którzy tam byli. Polonistom, a więc i mnie, szczególnie. Czuliśmy, że uczestniczymy w czymś niepowtarzalnym, wyjątkowym, że nie można było być jedynie widzem, że trzeba było być uczestnikiem, aktorem, scenarzystą i reżyserem przebudowy Polski w normalny, demokratyczny kraj, bez tego całego zła, które jest zawsze, gdy nie człowiek jest najważniejszy, ale partia, kariera, pieniądze.

Jechaliśmy do Warszawy i rozmawialiśmy. Wspominaliśmy



Andrzej Zarębski i Paweł Huelle na rocznicowym spotkaniu przy bramie stoczni 30.08.2020 r. | Fot. L. Biernacki

spotkanie w klubie „Wysepka”, na którym dzięki szczodrości rektora Andrzeja Ceynowy (mieliśmy to szczęście, że akurat rektorem był profesor z Wydziału Humanistycznego), dostaliśmy stosowny prezent: pokrycie kosztów rachunku w barku do 2,5 tys. zł. Barman na bieżąco informował ile jeszcze nad kreską zostało. Nikomu nic nie zabrakło, a do wyboru było piwo, wino, coś mocniejszego, także coś do zjedzenia. Z tego powodu był toast na cześć rektora. Super radosna atmosfera. Była z kamerą Ola Zielińska z TVP. Jej krótka relacja ukazała się w „Panoramie” TVP Gdańsk. Próbowałem wydobyć jej materiał do archiwum NZS, ale bez powodzenia. Szkoda, wypowiadał się Paweł i Andrzej, ja też coś powiedziałem i inni. Mówiliśmy, że spisujemy swoją historię – i poszło to w świat. Byłaby niezła pamiątka. Może jednak gdzieś w archiwach telewizyjnych jest do odnalezienia



Paweł Huelle zostaje odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, pałac Prezydencki, Warszawa 31.08.2012 r. | Fot. Eliza Radzikowska-Białobrzewska KPRP

nia. Zdecydowaliśmy mianowicie, że powstanie monografia o NZS. Miałem ją napisać. W Komitecie redakcyjnym mieli mi pomagać Jancelewicz i Miłosz Wierchowski. Huelle i Zarębski obiecali podzielić się swoimi wspomnieniami. Po kilku miesiącach okazało się, że tzw. drugi NZS, czyli milionerzy ze SKOK, sami o sobie zlecili napisanie książki. Napisał ją Zbigniew Gach, który wykorzystał obszerne fragmenty z moich oraz ks. Jarka Wąsowicza (autor książki o opozycyjnej Federacji Młodzieży Walczącej) maszynopisów bez podania źródła. Dostał sowite honorarium.

Paweł już przed sierpniem zaangażował się w działania opozycyjne. Zdał egzamin maturalny i rozpoczął studia polonistyczne na Uniwersytecie Gdańskim w 1976 r. Czyli wtedy, gdy powstał Komitet Obrony Robotników i zaczął wzmacniać się duch buntu. Po pogrzebie Stanisława Pyjasa 15 maja

1977 w Krakowie, studenci krakowscy zorganizowali protestacyjny „czarny marsz”, po którym u stóp Wawelu powołali pierwszy Studencki Komitet Solidarności. W Uniwersytecie Gdańskim pojawiły się klepsydry i ulotki. Po wakacjach powstał Studencki Komitet Solidarności „Trójmiasto”. Rozprowadzane były ulotki, organizowano na UG niezależne spotkania, zawsze na Wydziale Humanistycznym lub w klubie „Wysepka”. Do pierwszego, bez zgody dziekana, doszło 2 grudnia 1977 r. Ulotki na wydziale rozprowadzali studenci polonistyki i historii. Wspominał Zarębski, że siadali w małej grupie na głównych schodach i rozdawali ulotki. Z pewnością razem z Andrzejem był Paweł. Powodowało to korek i dlatego na nielegalne zebrania i wiece przychodziło więcej studentów, niż można się było spodziewać. Na pierwszy wiec przyszło ponad stu. Zebrano 60 podpisów pod pe-

” Dusza? Ten wynalazek kapłanów i filozofów, o którym wiadomo jedynie tyle, że przez tysiące lat nie rozstrzygnięto tak naprawdę, czym jest, o ile jest?

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*

tycją żądającą zamieszczenia w Dzienniku Ustaw pełnego tekstu *Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela* ratyfikowanej przez PRL w marcu 1977 r. oraz pełnego tekstu protokołu końcowego KBWE.

Z inicjatywy Bogdana Borusewicz 16 grudnia 1977 r., w rocznicę masakry robotników w 1970 r., została zorganizowana po raz pierwszy uroczystość złożenia wieńca przy bramie Stoczni Gdańskiej. Udział wzięli studenci z PG i UG. Funkcjonariusze partyjni szacowali, że w pobliżu bramy było około 250 przechodniów, w tym około 60 studentów. Wśród nich był Zarębski, a więc pewnie i Huelle. Borusewicz z Mariuszem Muskatem małą, czeską kamerą 8mm nakręcili kilka scen. Zanim dopadli ich funkcjonariusze SB, wyjęto z niej szpulę z filmem, która trafiła do Zarębskiego. Był ze swoją dziewczyną i to jej przekazał film. Ukryła szpulę w majtkach. Film został uratowany i przekazany na Zachód. O takich wydarzeniach rozmawiano na korytarzach wydziału. Coraz śmieiej uczestniczano w nielegalnych ini-



Cegła im. Pawła Huelle, 31.08.2025 r. Fot. L. Biernacki.

cjatywach. Do sierpnia 1980 r. stale dochodziło do różnych spotkań, rozprowadzane były ulotki i nielegalne broszury, gazetki, aż w końcu książki. Uczestnicy tych wydarzeń byli obserwowani przez działaczy partii uniwersytetu i współpracowników SB. Zachowały się nieliczne dokumenty spreparowane przez funkcjonariuszy i ich tajnych współpracowników o działalności studenckich opozycjonistów. Był wrzesień 1978 roku. Trójmiejscy studenci podczas spotkania w prywatnym mieszkaniu planowali działania w nowym roku akademickim. TW „Napoleon” doniósł SB, że był wśród nich nieznany mu z nazwiska student polonistyki Paweł, nazywany Maurycym. Rozpoznał za to Magdę Modzelewską-Rybacką. TW drobniawo zrelacjonował przebieg spotkania, m.in. że Maurycy mówił o znajomym, który opracował projekt znaczka z okazji sześćdziesiątej rocznicy odzyskania niepodległości. Znaczek miał być odlany z cyny, a pod orzełkiem w koronie miały być daty 1918–1978. Przewidywano jego sprzedaż na uczelniach Trójmiasta. Fundusz uzyskany w ten sposób miał być przeznaczony na działalność SKS i wydawanie biuletynu. Maurycy deklarował także, że zna dwóch chłopaków „złote rączki”, którzy są gotowi drukować różne materiały. Pod informacją TW „Napoleona” porucznik Nicer z SB zapisał plan działań, które miały zapobiegać działalności SKS. SB jeszcze uważniej zaczęła zbierać dane o studentach, którzy planowali podjęcie nielegalnych działań.

O Pawle z czasów studiów krąży trochę anegdot. Andrzej Kasperek powiedział kiedyś, że dzięki niemu „w końcu w śro-

dowisku przestała panować atmosfera kościelnej krypty”. Jak daleko było im do takiej krypty, świadczą dni i godziny spędzone przez grono zaprzyjaźnionych studentów w barze „Jagienka”, który wówczas działał przy przystanku kolejki miejskiej na Przymorzu. Tam dochodziło do zderzenia „sacrum” z „profanum”. Zwyczajowo po zakończeniu seminarium prof. Janion, na które Paweł zaczął chodzić od drugiego roku studiów w 1977 r., grupa słuchaczy lądowała właśnie w „Jagience”. Jedną z najhuczniejszych imprez odbyła się ponoć w 1978 r., w rocznicę odzyskania niepodległości, która to rocznica wypadała w sobotę. Studenci składający się ku „profanum” pod przewodem Pawła Huellego wybrali

się do baru, natomiast tkwiący w „sacrum” poszli pod przewodem Olka Halla i Arama Rybickiego modlić się o cud do kościoła. Przy pełnych kuflach piwa wesółą kompania prześcigała się w kwiecistych toastach poetyckich „na pochybel komunie”. Intonowano pieśni legionowe i pieśni konfederatów oraz

antykomunistyczne przyśpiewki. Tu dyskutowało się o informacjach z Wolnej Europy, wymieniano i czytało bibułę, opowiadało najmocniejsze kawały polityczne i antysowieckie, a przy tym piło gdańskie piwo.

Głównym źródłem intelektualnego fermentu na Wydziale Humanistycznym było, otwarte dla wszystkich studentów, seminarium prowadzone przez prof. Marię Janion, która w 1977 r. podpisała w Warszawie oświadczenie powołujące do życia Towarzystwo Kursów Naukowych i z tego powodu została wykluczona z szeregów PZPR. Prof. Janion uczyła studentów wrażliwości na kulturę i sztukę, kształtowała patriotyczną postawę. Promowała serię publikacji zawierających niecodzienną literaturę i historyczne dokumenty, które dotyczyły polskich organizacji nielegalnych w Królestwie Polskim. Na jej konwersatoriach i seminariach dyskutowano o filmach, które można było obejrzeć jedynie na zamkniętych pokazach w ramach dyskusyjnego klubu filmowego.

Były spotkania z zaproszonymi gośćmi. Paweł wspominał: „Profesor zapraszała też gości. Któregoś dnia na zajęcia przyjechał do nas Miron Białoszewski, który w niezwyklej sposób odczytał dla nas swoje wiersze. Mogliśmy zobaczyć inne oblicze Białoszewskiego. Profesor mówiła do niego: »Mironku, może jeszcze to przeczytasz«, a on odpowiadał: »Misiu, dobrze«. Do dziś pamiętam, jak Białoszewski na prośbę profesor przeczytał fragment »Samuela Zborowskiego« Słowackiego: »O! smętny — o! kochany! / Srodze ty oszukany... / Przez sfinksowe aleje / Piasek stepowy wieje...«. Czytał



Leszek Biernacki i Paweł Huelle przy tablicach z 21. postulatami, ECS 29.08.2021 r. | Archiwum L. Biernackiego.

z takim niestęchłym zaśpiewem, dla nas i dla pani profesor. A ona z radości pomrukiwała. Można się było zachwycić. Byliśmy świadkami niezapomnianego spektaklu” (*Była jak guślarz z „Dziadów”*. Potrafiła zaczarować – Paweł Huelle o Marii Janion, e-teatr.pl, 25.08.2020). U niej na seminarium napisał pracę *Iwaszkiewicz, jako medium romantyczne*. Dwudniowe całodienne seminaria na Wydziale Humanistycznym zaowocowały serią wydawniczą *Transgresje*. W trzecim tomie *Osoby*, znalazła się wypowiedź Pawła Huelle: *Przybyszewska chce wiedzieć, jakie są granice przemiany człowieka*. Zanotowano też jego wypowiedź w rozdziale *Komentarze*. Janion przyjeżdżała do Gdańska na wykłady z pokaźną torbą książek. Odkryła dla słuchaczy na nowo myśl romantyczną, a wówczas romantyzm oddziaływał silniej na młodych niż dziś. Z tego też powodu jej książka *Reduta* była dla tych polonistów, którzy w sierpniu 1980 r. napisali *Apel*, tak wielkim wydarzeniem, że swojemu pismu, które zaczęli drukować od września, nadali tytuł „Reduta”. Jednocześnie przy seminarium prof. Janion działała grupa twórców, którzy uważali, że istnieje sztuka sama w sobie. Utworzyli grupę pod nazwą *Nowa Prywatność* (między innymi Anna Czekanowicz, Zbigniew Joachimiak, Władysław Zawistowski i Stefan Chwin). Byli twórcami, którzy przed

Sierpniem `80 narażali się na krytykę, że bardziej zależy im na dofinansowywaniu (warsztaty, obozy, seminaria, wydania książek), że pozują na artystyczną bohemę, która chce być jak najdalej od polityki, bo ta jest sprzeczna ze sztuką. Można było przypuszczać, że władza starała się promować takie zjawiska artystyczne w kontrze do pisarzy i poetów zaangażowanych po stronie opozycji (Barańczak, Kornhauser, Zagajewski). W przedsierpniowej rzeczywistości Gdańska trudno wskazać kogokolwiek ze środowiska literackiego i artystycznego kto jawnie sprzyjał opozycji. Wtedy w auli Wydziału Humanistycznego UG 3 października 1980 r. Od lewej: siedzą za stołem Marek Sadowski i Marek Zająk, stoją Paweł Huelle i Anna Huelle. Pierwszy od dołu L. Biernacki, październik 1980 r. Fot. nn, archiwum NZS UG. Paweł wciąż myślał o napisaniu powieści o tamtych wydarzeniach, o naszym pokoleniu, o czasach pełnych nadziei i rozczarowaniach dniem dzisiejszym. Przypominałem mu o tym o czym nie opowiedział, a tak wiele się wówczas działo, gdy po zakończeniu studiów rozpoczął pracę w Biurze Informacji Prasowej „Solidarności” (BIPS). Mówił mi, że było to coś niesamowitego, niespodziewana przygoda, bo przecież gdyby nie strajk i „Solidarność”, to wiódłby szare życie. Praca w BIPS to była wielka przygoda, niezwykle in-

” Poza tym pozwolą państwo, że zacytuję Pascala: Otóż człowiek nigdy nie popełnia zła tak do końca i bez wahania, jak wówczas, gdy czyni to z pobudek religijnych.

Paweł Huelle, *Ostatnia wieczerza*

tensywne miesiące 1981 roku. Ciągłe się coś działo, trzeba było być w centrum wydarzeń i zaspokajać powszechny głód na prawdziwą informację.

Utworzenie własnej sieci informacyjnej było dla Związku koniecznością, bo wiele informacji w oficjalnej prasie nie ukazywało się, a te, które można było przeczytać, były zmanipulowane. Co więcej, w sytuacjach konfliktowych zdecydowana większość informacji rozpowszechniana przez komunistyczną władzę, była kłamliwa. BIPS, którego szefem od początku był Arkadiusz Rybicki, wydawał codzienne serwisy informacyjne – zazwyczaj o objętości czterech stron maszynopisu. Zawierały one wiadomości na temat prac Komisji Krajowej „Solidarności”, o sytuacji strajkowej w regionach, sprawozdania z podróży Wałęsy po kraju i za granicą. Serwis był rozsyłany drogą teleksową i drukowany techniką powielaczową. Codziennie przed siedzibą MKZ-u przy ul. Grunwaldzkiej we Wrzeszczu ustawiały się po niego kolejki. Jego szefem był Andrzej Zarębski. BIPS wydawał też tygodnik, którego redaktorem był Paweł Huelle. Tygodnik publikował pełne teksty uchwał KK, wywiady, materiały Ośrodka Prac Społeczno-Zawodowych, raporty dyskusyjnego konwersatorium Doświadczenia i Przyszłość. BIPS prowadził działalność wydawniczą. Wydano m.in.: *Zakazane piosenki*, *Who is who – Leksykon Związkowy*, *Prawo i obywatel*, *Dyskusję nad programem Związku*, *Miłosz w kraju*, *Dokumenty I Krajowego Zjazdu Delegatów* – łącznie 16 pozycji.

Na bazie BIPS utworzono Biuro Prasowe I Krajowego Zjazdu Delegatów i przez półtora miesiąca w 1981 r. wydawano codzienną ogólnopolską gazetę – „Głos Wolny”. W skład redakcji wchodził m.in.: Seweryn Blumsztajn, Andrzej Dorniak, Paweł Huelle, Antoni Pawlak, Zbyszek Pilachowski, Arkadiusz Rybicki, Joanna Szczęsna, Tomasz Wołek, Jacek Żakowski i Tomasz Jastrun.

Przez cały okres działalności BIPS wszyscy pracowali w nim z niezwykłym entuzjazmem. Nikt nie liczył wówczas przepracowanych godzin. Bywało, że spali w pracy przez 4 godziny, po 20-godzinnych rozmowach, pisaniu i redagowaniu tekstów. Sił dodawała świadomość współuczestnictwa w wielkiej sprawie, na plecach czuli oddech historii.

Pracę w „Solidarności” podjęli byli założyciele NZS na UG. Oprócz wcześniej już wymienionych byli to: Rysiek Grabowski, Andrzej Friedel i Szymon Karolewski. W redakcji rubryki „Samorządność”, kierowanej przez Lecha Bądkowskiego, która ukazywała się w „Dzienniku Bałtyckim”, pracował Donald Tusk. Bardzo wielu członków NZS UG, łącznie ze mną, po zakończeniu strajku sierpniowego współpracowało z „Solidarnością” jako wolontariusze, robiąc zdjęcia, drukując ulotki i je kolportując, oraz urządzając na uczelniach spotkania z liderami Związku.

Paweł przekazał mi wczesną jesienią 2023 r. do archiwum swoją legitymację BIPS-u. Miał o niej i o BIPS napisać dla mnie kilka zdań. Niestety, nie znalazł sił do spisania tych kilku zdań. W rewanżu obiecałem dać mu w prezencie na

najbliższą gwiazdkę oprawione, niewiadomego autorstwa, archiwalne zdjęcie spod stoczni, na którym siedzi wraz z innymi na pokracznej ławeczce z cegieł i deski, gdzie postanowili, że skoro: „robotnicy w stoczni, zakładają swoje niezależne związki, to my na uczelni też musimy mieć niezależną organizację” – tak to tłumaczył. To zdjęcie ławeczki ze studentami jest inspiracją promocji idei pomnika NZS przy bramie stoczni.

Wprowadzenie stanu wojennego spowodowało, że zeszliśmy do podziemia. Zorganizowałem podziemne struktury NZS, które dla utrwalenia przedsierpniowej tradycji nazwałem Studenckim Komitetem Solidarności NZS „Trójmiasto”. Paweł nie został aresztowany, nie miał pracy, a miał już małe dziecko i żonę. Wtedy napisał pierwszą książkę, która nigdy nie została wydana. Miała ukazać się w podziemiu, ale Paweł nie zgadzał się z redaktorami żądającymi wprowadzenie poprawek. W końcu zniechęcił się do książki. Mówił mi, że ma ją gdzieś w szpargałach, ale nie zamierza do niej wracać, że napisze nową o tamtych czasach, o nas i naszych przeżyciach. Zadebiutował jako krytyk literacki i poeta w „Twórczości” w 1983 roku. Podjął pracę nauczyciela języka polskiego w szkole podstawowej w gdańskim Nowym Porcie. Zaczął pisać *Weisera Dawidka*. Opowiadał: „– Mieszkaliśmy wtedy z moją ówczesną żoną i z małym dzieckiem w dwupokojowym mieszkaniu, w którym się wychowałem. Skończyły nam się pieniądze i nie mogliśmy już dalej wynajmować mieszkania, więc moi rodzice na jakiś czas nas przyjęli. Musiałem pisać nocą, w kuchni, żeby nikomu nie przeszkadzać. Podkładałem pod moją maszynę do pisania poduszkę, żeby nie było słychać tego strasznego huku, żeby moi rodzice za jedną ścianą, a moja żona i dziecko za drugą mogli spać” (*„Dobra literatura jest sztuką pamięci”*. Paweł Huelle o życiu i pisaniu, polskieradio.pl). Pracę nad książką ukończył w 1984 roku, ale dopiero po trzech latach została wydana.

W 1984 r. i 1986 r. pod pseudonimem J.D. oraz Jan Dantyszek opublikował swoje teksty w nielegalnym „Podpunkcie”. Zaczął publikować felietony w podziemnym „Przeglądzie Politycznym”. Od 1984 r. rozpoczął współpracę z redakcją „Gwiazdy Morza”, dwutygodnikiem wydawanym przez gdańską kurię, w którym w 1987 r. ukazują się jego obszerne opisy z wizyty papieża w Gdańsku w 1987 r.

Jesienią 1986 lub wiosną 1987 r. wybrałem się do dominikanów na „Górkę” w Kościele św. Mikołaja w Gdańsku. Po uczelni rozniosła się bowiem wieść, że tam jawnie opowiadane jest niezależne, podziemne pismo pod nazwą „Punkty Mówione”. Wchodzę na wysokie piętro przykościelnego klasztoru. Pełno ludzi, cudem znajduję z tyłu wolne krzesło. Przez około dwie godziny wraz ze wszystkimi ludźmi, cieszyłem się z wolności słowa, którą serwował Huelle, w towarzystwie dr Kazimierza Nowosielskiego (poeta i wykładowca na UG), Stanisława Esden-Tempskiego i Tadeusza Skutnika. Paweł był prowadzącym i organizatorem comiesięcznych spotkań. Autorzy tekstów sami je czytali przed



zgrupowaną publicznością. Na spotkanie przyszedłem z aparatem fotograficznym schowanym w torbie. Nie odważyłem się go wyjąć i zrobić zdjęcia. Obawiałem się, że mogę być uznany za wtykę SB. Podzieliłem się później z Pawłem moimi wątpliwościami, czy dobrze zrobiłem. Powiedział, że tak. Dziś żałuję, że nie zrobiłem zdjęć. Zachowałem jedynie w pamięci obraz mówiącego „Na Górcę” zza stołu z papierami Pawła. Niestety, ta pamięć, o której bezcennej wartości nieraz mówił, nie nadaje się do ilustrowania tekstów. Jak ważne są więc zdjęcia...

Reakcja publiczności i środowiska kulturalnego, której byłem świadkiem, świadczyła, że nie pogodzono się z cenzurą i licencjonowaniem przez partię życia literackiego i artystycznego. Każdemu comiesięcznemu spotkaniu towarzyszył prezentowany na sztaludze obraz, grafika lub rysunek. Prezentacją tej pracy, opowieścią o autorze lub autorce, rozpoczynano każdy kolejny numer mówionego pisma. Zapraszani artyści i prowadzący nie pobierali tantiem za obecność.

Niezależni artyści byli niechętnie widziani przez władzę. 13 grudnia została zawieszona działalność Związku Literatów Polskich. Już 21 grudnia 1982 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki zlikwidowało kwartalnik literacki „Punkt. Almanach gdańskich środowisk twórczych” wydawany

od 1978 r. przez Wydawnictwo Morskie. Zaczęły ukazywać się publicystyczno-literackie pisma w podziemiu. Od 1983 r. ukazywał się „Podpunkt. Gdańskie Zeszyty Literackie”. W podziemiu funkcjonowało Koło Młodych zawieszonego ZLP, w którym wielu członków wywodziło się z Uniwersytetu Gdańskiego.

W trzydzieste urodziny Pawła w 1987 roku ukazała się jego debiutancka książka *Weiser Dawidek*. Odmieniła jego życie, tak jak i wielu mieszkańców Gdańska. Dawała bowiem poczucie związania się z miejscem, w którym się mieszkało, tożsamość z przeszłością. Przedstawianie się, że jest się z Gdańska otrzymało nowe, literackie wypełnienie. Legenda tej książki nie przemija. Styl, sposób narracji był w książce zgodny z tym jaki Paweł był w rzeczywistości. Z taką samą przyjemnością się go czytało jak słuchało. Książka została nagrodzona w tym samym roku Nagrodą Młodych miesięcznika „Literatura”, a rok później Nagrodą Fundacji imienia Kościelskich.

Po 1989 r. losy dawnych kolegów z NZS i ze studiów różne się ułożyły. Paweł stał się uznanym, bardzo cenionym pisarzem i dramaturgiem. Wydaje kolejne książki, pisze sztuki teatralne i teksty publicystyczne. Był rozchwytywanym uczestnikiem wielu ważnych debat i dyskusji. Od 12 marca 1994 do września 1996 był dyrektorem gdańskiego ośrodka Telewizji Polskiej. Objęcie tej funkcji zaproponował mu Wiesław Walendziak. Sam się z telewizji zwolnił bo męczyła i irytowała go praca w tej instytucji. W 1998 r. zgodził się kandydować z list Unii Wolności, na radnego miasta Gdańska, bez powodzenia. O ile dobrze pamiętam nie miał żadnej ulotki i plakatu, nie udzielał się w kampanii wyborczej, w której byłem wówczas zaangażowany.

Przyglądał się krytycznie nowej rzeczywistości. Nie krył się ze swoimi opiniami. Mówił o tym w wywiadach, zapisywał swoje opinie w książkach i felietonach. Wyrażnie jest to widoczne w książce *Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala*, wydanej w 2001 r., gdzie zauważa, że „tamto nasze szlachetne zachłyśnięcie się wiatrem od morza, po którym przyszło, nie tak znów prędko, nieuniknione bagno polityki, udręka pospolitych rzeczy, poezja afer, epika kłamstw, festiwal nikczemności, słowem normalne życie z kredytem i debetem”. Powtarza krytyczną ocenę w tekście z 2004 r. o księdzu Henryku Jankowskim: „Wiele rzeczy w III RP już zrozumiałem. Na przykład to, że lepiej być byle jakim politykiem niż doskonałym w swoim fachu lekarzem czy nauczycie-

” ...także muśnięcie jej dłoni, owo dyskretne, jak gdyby od niechcenia, a może rzeczywiście przypadkowe dotknięcie jej delikatnych palców, które podziało na mnie dosłownie jak tchnienie Świętego Ducha...

Paweł Huelle, *Mercedes-Benz., Z listów do Hrabala*



Paweł Huelle dał sygnał gwizdkiem na odjazd zabytkowego pociągu, który zainicjował kursy Pomorskiej Kolei Metropolitalnej. Następnie kontrolował bilety i wręczał podróżnym pamiątkowe zaświadczenia, Gdańsk, 31.08.2015 r. | Fot. L. Biernacki

lem gimnazjum. Różnica w poziomie dochodów pomiędzy nieudacznym i zapracowanym, skorumpowanym pośłem, a świetnym fachowcem we wspomnianych dziedzinach ma się bowiem tak, jak masa Stońca do masy Ziemi. Mniej więcej. Rozumiem też, że demokracja – jakkolwiek pojmowana – pozwala na głoszenie poglądów skrajnie głupich, beznadziejnie prymitywnych i demagogicznych. O to przecież – paradoksalnie – walczyliśmy w sierpniu 1980 roku. By nikt, Boże broń, nie był w Rzeczypospolitej prześladowany za głoszone poglądy”. Dalej tłumaczył dlaczego napisał felieton: „Jeśli zabieram w tej sprawie głos, to raczej jako gdańszczanin, pytany w świecie dziesiątki, jeśli nie setki razy o fenomen księdza Jankowskiego. [...] Przemawia jak gauleiter, gensek, nie jak kapłan. Nie wiem ile razy jeszcze w kościele Świętej Brygidy usłyszę, że Żydzi zniszczyli nasz kraj, a Unia Europejska jest spiskiem zawiązanym w celu zniszczenia Polski” ((*Rozumieć diabła*, „Rzeczpospolita”, 22 maja 2004). Liga Polskich Rodzin i ksiądz pozwalają Pawła. Sąd Okręgowy uznał, że Huelle jest winny i nakazał przeprosiny. Po odwołaniu Sąd Apelacyjny w kwietniu 2006 r. uchylił to postanowienie i orzekł, że pisarz nie przekroczył w tekście „granic swobody wyrażania opinii”. Lata bieły. Niektórzy jego koledzy kariery zrobili w polityce, w biznesie. Po wielu słuch zaginęła, niektórzy ledwo mogli przeżyć od początku do końca miesiąca. Paweł był

tego świadom. Żył wśród ludzi i wydarzeń politycznych, żył swoim miastem i jego problemami. Paweł do śmierci nie wahał zabierać głosu w ważnych sprawach.

Zamierzał pomóc przy promocji mojej książki *Gdy wieje wiatr historii* w 2014 r. na Wydziale Humanistycznym UG. Wpadłem mianowicie na pomysł, aby podarować NZS na uczelni rower Pawła, legendarną „Ukrainę”, któremu w książce poświęciłem trochę miejsca. Pawła ucieszył pomysł, ale powiedział, że niestety, rower, który przez wiele lat stał spokojnie w piwnicy jego rodziców, został skradziony. Powiedział, że jeśli znajdę taki rower, to go młodemu wręczę. Rozpocząłem poszukiwania „Ukrainy”. Na Facebooku ogłosiłem:

„Prośba do wszystkich znajomych!

Pilnie poszukuję w przystępnej cenie zabytkowego roweru Ukraina. Pragnę go razem z Paweł Huelle podarować 30 października obecnemu NZS na Uniwersytecie Gdańskim podczas promocji mojej książki »Gdy wieje wiatr historii. Studenci z robotnikami Gdańsk 1976-1980«. Rower ten odegrał bowiem kluczową rolę w powstaniu pierwszego NZS w Polsce (szczegóły w książce)!

Bardzo proszę, pytajcie w rodzinie i dalekich krewnych, podpytujcie sąsiadów i znajomych. Paweł ten historyczny obiekt trzymał jeszcze kilka lat temu u rodziców w piwnicy. Niestety, został skradziony (ruski sabotażysta to zrobił?).

Rozsyłajcie wici na cały świat. Mam nadzieję, że Ukrainę odzyskamy:)”.

Niespodziewanie odpowiedziała mi ciotka Grażyna Iganowicz z Białowieży (nauczycielka matematyki, już na emeryturze), że u niej w garażu stoi stara, niepotrzebna Ukraina, na której jeździł jej mąż i mój wujek Tadek (nauczyciel fizyki też na emeryturze) i mogą ją przekazać na promocję. Ucieszony zadzwoniłem do Pawła, że rower jest, że ma nawet więcej lat od jego autentyku, ale ciągle można na nim jeździć. Cieszyliśmy się bardzo. Niestety, ruski sabotażysta był ciągle aktywny. Napisałem o tym 27 października 2014 r. na Facebooku:

„Kurier nie zgodził się zabrać Ukrainy i dostarczyć ją z Białowieży do Gdańska, bo nie miała odkręconej kierownicy oraz pedałów i nie była w pudełku! Zlecając przesyłkę mówiłem, że rower nie ma żadnej wartości, że ma wartość symboliczną, że będzie służył tylko na promocji książki jako symbol przeniesienia się 34 lata wstecz pod bramę stoczni. Przyjmując zlecenie po tych tłumaczeniach polecił jedynie unieruchomić koła i kierownicę by były nieruchomo. I tak był zabezpieczony. Na nic to się zdało. Kurier rządzi, bo jeszcze bym go oskarżył o uszkodzenie złomu!?”

Jak przewieźć Ukrainę najpóźniej na czwartek na Humanę???”

Nie udało się. Okazało się dodatkowo, że ciotka wzburzona na kuriera pozostawiła rower przy drodze. Oczywiście zniknął. Szefa NZS na UG w 2014 r., Karola Malinowskiego, uprzedziłem, że Zrzeszenie dostanie prezent (odpowiadali za organizację: wynajęcie sali, plakaty, reklamę w Internecie). Na spotkaniu wyjaśniłem co się z rowerem stało, a Karolowi przekazałem autentyczny znaczek NZS z 1981 r., który w 2012 r. w pałacu prezydenckim przekazałem Angelice, a ona nie zdążyła jeszcze przekazać go kolejnemu przewodniczącemu.

Paweł Huelle (w środku w czerwonej marynarce) na promocji książki *Gdy wieje wiatr historii* na Wydziale Humanistycznym, 2014 r. Na sali m.in. od lewej: Stanisław Śmigiel, Bogdan Borusewicz, Bożena Rybicka, Andrzej Kołodziej, Jacek Taylor, Mirosław Rybicki, Magda Modzelewska-Rybicka, Krzysztof Wyszowski, Jarosław Słoma, Jacek Jancelewicz, Fot. arch. domowe L. Biernackiego.

Podczas promocji poprosiłem kilka osób, aby podzieliły się swoimi wspomnieniami. Wywołałem oczywiście Pawła. Opowiedział o poczcie rowerowej i o ławeczce, na której siedział z kolegami. Chciał skończyć. Nie pozwoliłem mu. Powiedziałem, że najpierw musi wyjaśnić, dlaczego tajny agent informując SB o działaniach studentów na UG, napisał, że najważniejszym był ktoś, którego nazywali Maurycy. Paweł opowiedział wówczas, że miało to coś wspólnego z książką *100 lat samotności* Gabriela García Márqueza, którą na studiach przeczytał i pod którą był wielkim wpływem. Nie wiem co miała samotność Márqueza wspólnego z Maurycym i Pawłem. Z innego powodu nazywany był bowiem Maurycym, o czym opowiedział na spotkaniu w ECS, i podczas naszego rocznicowego spotkania przy bramie stoczni w rocznicę opublikowania *Apelu*. Mianowicie Paweł lubił popisywać się na uczelni udając głos Maurycego z radiowej Rodziny Poszepczyńskich. Było to humorystyczne słuchowisko nadawane od lat 70. w radiowej Trójce. Maurycy Poszepczyński (dał mu głos Maciej Zembaty), był beznadziejnie irytującą postacią. Paweł w przerwach między zajęciami potrafił na korytarzach Wydziału Humanistycznego odtworzyć dialogi ze słuchowiska idealnie naśladowując głos radiowego bohatera.

Przed historyczną bramą stoczni gdańskiej w 2020 r., od lewej: Andrzej Zarębski, Paweł Huelle, Jacek Jancelewicz, Alina Sadowska (Żulpo) i Marek Sadowski. Fot. L. Biernacki. Gdy zbliżała się w 2020 r. 40. rocznica powstania NZS było oczywiste, że Pawła nie zabraknie. Bardzo chciał na nim być i spotkać się z innymi pod historyczną bramą. Słoma znalazł w Olsztynie sponsora, który wydrukował zaprojektowane przeze mnie koszulki, w które wszyscy się ubrali. Zbudowaliśmy z cegieł i desek pomnik NZS, a następnie dokonaliśmy uroczystego otwarcia. Był to pomnik wyjątkowy, bo składany, przenośny i wieloletni. Koszt materiałów i budowy zero złotych. Przecieliśmy wstęgę, złożyliśmy autografy na rollupie, gdzie było wydrukowane *Posłanie na czterdziestolecie NZS* (autorstwa mojego, Andrzeja Kasperka i Jacka Kozłowskiego). Były pamiątkowe zdjęcia. Na ławeczce zasiedli ci, którzy siedzieli tu w 1980 r. Szkoda, że wówczas nie udało się zebrać wszystkich, a była to ostatnia okazja, by zebrać się w szerokim gronie.

”Polska kultura klęski uczyniła wiele, by w nieustannym paśmie niepowodzeń znaleźć mimo wszystko nadzieję. Było nią romantyczne i chrześcijańskie przekonanie, że w śmierci i przegranej kryje się przecież wizja zmartwychwstania. Pokonani nieustannie wmawiali sobie, że racja moralna jest po ich stronie.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*



Założycielskie spotkanie Komitetu Solidarności z Ukrainą, plaża w Sopocie „Małe molo”, 26 marzec 2022 r. Od lewej: Paweł Huelle, Marek Kotlarz, Miłosz Wierchowski, Jacek Jancelewicz, Leszek Biernacki. Fot. Marcelina Wilczewska, szefowa studenckiego komitetu pomocy dla Ukrainy, która zobowiązała się do współpracy z naszym Komitetem | Fot. arch. L. Biernackiego

Paweł opowiedział o swoim przyjacielu, poecie z Białorusi, który w trakcie protestów w Mińsku przetłumaczył na język białoruski *Mury* Jacka Kaczmarskiego i pobiegł z gitarą na miasto by zaśpiewać pieśń. Wskoczył na czołg i zaczął śpiewać. Został zatrzymany i skazany na karę więzienia. Słoma przypomniał o internowaniu w Strzebielinku i przekazał do Muzeum Uniwersytetu Gdańskiego, na ręce dyrektora Marty Szaszkiewicz, powiększoną reprodukcję zrobionego w obozie pocztowego znaczka NZS.

Na 45-lecie, czy 50-lecie, będzie nas mniej, nie wiem czy znajdę siły do organizowania obchodów, może już wówczas i mnie zabraknie. Wtedy po raz ostatni na jednym zdjęciu sfotografowałem Pawła i Andrzeja Zarębskiego. Jacek Sott nakręcił film. Opowiedziałem wszystkim moją ideę, której Paweł bez zastrzeżeń cały czas kibicował, czyli o postawieniu pomnika NZS przy bramie stoczni. To tu, w tym miejscu powstała idea zorganizowania największej i przez kilka lat jedynej niezależnej organizacji studenckiej między Łabą a Władystokiem, która tak dużo napsuła krwi komunistom. Paweł zawsze mi powtarzał, że jego nazwiskiem mogą sygnować każde pismo do władz miasta i wszystkich świętych w tej sprawie. Nie rozumiał, że w mieście „Solidarności” tak oczywistej i prostej sprawy nie można pchnąć do przodu.

Otrzymaliśmy od organizatorów obchodów 40. rocznicy Porozumień Sierpniowych, a konkretnie od Jacka

Bendykowskiego, obietnicę, że *Postanie*, wraz z naprędce zbudowaną ławeczką z cegieł i deski, będą eksponowane w Europejskim Centrum Solidarności, gdzie po naszym spotkaniu trafiły. Niestety, rollup z autografami został rzucony gdzieś w kąt w magazynie, jak i cegły oraz deski. Po dwóch latach udało mi się rollup odzyskać i w 2023 r. przekazałem go, podczas kolejnego spotkania przy bramie, Magdalenie Jaszczu z Muzeum Uniwersytetu Gdańskiego. Niestety, cegły i deski oddane do ECS przepadły. Po krótkim śledztwie nasz znajomy z ECS Adam Cherek ustalił, że w trakcie robienia porządków trafiły na śmietnik.

Sprawą pomnika NZS zaraziłem młodych, którzy kontynuowali naszą tradycję. Opowiadałem u nich od 2010 r. o tej idei na spotkaniach uczelnianych i m.in. 7 czerwca 2019 r. na ogólnopolskim zjeździe w Dworze Artusa w Gdańsku, na którym zdecydowanie zadeklarowali, że jak będzie zgoda to przeprowadzą ogólnopolską zbiórkę pieniędzy. 13 grudnia 2017 roku wspinała, przebojowa dziewczyna Patrycja Serafin, najpierw przewodnicząca NZS UG, a później od 2019 r. Komisji Krajowej NZS, złożyła na ręce przewodniczącego rady miasta Gdańska, oficjalny wniosek o zgodę na budowę pomnika, co umożliwiłoby zorganizowania konkursu na projekt i zbiórkę pieniędzy. Spotkaliśmy się z władzami miasta. 10 maja 2018 r. doszło do ponownego spotkania z Komisją Pomnikową UM Gdańsk. Na Facebooku napisałem relację:

„[...] Mam nadzieję, że udało mi się rozwiązać wątpliwości dotyczące »ławeczki NZS«. Wytłumaczyłem, że nie chodzi o normalną ławkę, ale o deskę położoną na ceglach. Że miejsce blisko historycznej bramy nr 2 stoczni gdańskiej nie jest przypadkowo wybrane, ale dokładnie w tym miejscu podczas strajku robotników w Sierpniu `80 gdańscy studenci opracowali i ogłosili *Apel* o organizowanie na uczelniach niezależnych organizacji studenckich. [...] Wszyscy walczyli o wolną i demokratyczną Polskę. Wielu z nich było aresztowanych, skazanych, internowanych, bitych. Największa młodzieżowa opozycyjna organizacja w czasach PRL, której idea narodziła się w Gdańsku, zasługuje na upamiętnienie. Wszyscy się z tym zgodzili, ale... Pomnika na razie nie będzie bo nie będzie uchwały rady miasta, a co za tym idzie nie będzie mógł być rozpisany konkurs na pomnik.

Na przeszkodzie stanęła zdaniem urzędników »Droga do Wolności«! [...] Dopytywałem o co konkretnie chodzi z planami budowy Drogi i jak wielki teren przed bramą będzie ona zajmować. Nie dostałem odpowiedzi. Nie dostałem też odpowiedzi, kiedy problemy się wyjaśnią. Za to dowiedziałem się, że istnieje jakiś galimatias związany z Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, który objął swoją kuratelą jakiś teren przy stoczni. Jak duży, to dopiero ma się wyjaśnić, ale nie wiem kiedy. [...] miałem nadzieję po spotkaniu NZS z panią wiceprezydent Aleksandra Dulkiwicz, że sprawę miejsca postawienia pomnika omówiliśmy już w grudniu ub.r. W styczniu został złożony wniosek. Do kwietnia nic się z nim nie działo. Teraz zaś wracamy do punktu początkowego. [...]

Odmówiono nam zaznajomienia się z projektem Drogi do Wolności byśmy mogli zastanowić się ponownie nad wyborem miejsca. Musieliśmy się zadowolić obietnicą, że w jakimś czasie (nie wiem jakim) zostaną sprawdzone plany i NZS UG ma otrzymać informację o tym co i gdzie jest zastrzeżone przez konserwatora i plany budowy Drogi do Wolności [...].

Pawłowi na bieżąco relacjonowałem boje o ławeczkę. Mówił, że jak trzeba będzie to pójdzie ze mną, Jancelewiczem i młodymi do urzędu. Powtarzał: – nie rezygnuj, trzeba wciąż się starać. Jednocześnie prosił, bym napisał opowiadanie, że u niego w „Blizie” nikt mnie nie zablokuje. Wiedział, że miałbym o czym pisać. Ten czas, gdy koledzy byli internowani i pod kontrolą strażników więziennych spędzili

cały rok, Andrzej Zarębski opisał w książce *Od grudnia do grudnia* (Huelle napisał do niej obszerną przedmowę). Paweł wiedział, że ja od urodzenia mieszkałem w mieszkaniu wspólnym razem z funkcjonariuszami milicji, a parter domu był w posiadaniu rodziny czerwonej burżuazji. Opowiadałem mu czasem o życiu z aparatem przemocy w jednym mieszkaniu, o nieustannej przemocy psychicznej i wielu szykanach. – Opisz to koniecznie do „Blizy”! – mówił. Może jeszcze kiedyś opiszę.

W kolejną sierpniową rocznicę, pomimo nie najlepszego stanu zdrowia, zgodził się, abyśmy 29 sierpnia 2021 roku wspólnie opowiadali w ECS, całej grupie zwiedzających, o dawnych latach, własnych przeżyciach, anegdotach. Uprzedził jedynie, że nie jest w stanie chodzić po wystawie i opowiadać, że musimy gdzieś przystanąć, a najlepiej usiąść. Na spotkanie z Pawłem i ze mną w ECS przyszło ze 40 osób (musieli z wyprzedzeniem elektronicznie zarezerwować udział). Znaleźliśmy sobie miejsce przy historycznych tablicach, na których Aram Rybicki i Maciek Grzywaczewski spisali tekst 21. postulatów. Przez około półtorej godziny na zmianę opowiadaliśmy o wydarzeniach z przeszłości. Nikt nie wyszedł, wszyscy uważnie słuchali i dopytywali, aż w końcu pracownik ECS, Adam Cherek (już zmienił pracę), uprzejmie obwieścił, że spotkanie musi się skończyć. Później jeszcze umówiliśmy się na spotkanie w ECS z kolegami z dawnego NZS.

Wcześniej jednak poszliśmy do gabinetu Basila Kerskiego, dyrektora ECS, który nas zaprosił. Ku mojej zgrozie proponował „po kielonku” jakiegoś drogiego alkoholu. Odmówiłem, a Paweł cały w skowronkach. Był kielonek za kielonkiem. Nic nie zapowiadało, aby chciał wyjść. Udało mi się jednak od butelki go oderwać. Przypominałem mu, że przecież do ECS zjechało kilku naszych kolegów, że cały czas na nas czekają. Chęć spotkania z kumplami okazała się na tyle silna, że zostawił w spokoju butelkę, która była jeszcze do połowy pełna. Na widok kumpli, jak zwykle, zaświeciły mu się oczy. Bardzo lubił spotkania, niekończące opowieści i anegdoty z lat studenckich. Jak zwykle przywozłem i odwozłem go do domu.

Ja z Pawłem w gronie słuchaczy w ECS, Gdańsk 29.08.2021 r. Fot. arch. L. Biernackiego.

Spotkanie znajomych w ECS. Od lewej Paweł Huelle, Leszek Biernacki i Andrzej Kasperek. 29 sierpnia 2021 r. Fot. arch. L. Biernackiego.

”

*Francuzi nie będą umierać za Gdańsk, Francuzi za Kraków!
Tylko my, mój chłopcze, potrafimy umierać za miasta,
których nie widzieliśmy na własne oczy.*

Paweł Huelle, *Opowiadania na czas przeprowadzki*



Siedzą na ławeczce Paweł Huelle i Marek Sadowski, za nimi z plakatem pocztą obozowej Jarek Stoma, Gdańsk 30.08.2020 r. | Fot. L. Biernacki

We wrześniu 2021 r. radni Gdańska, z inicjatywy radnego Andrzeja Kowalczyka, wystąpili z inicjatywą upamiętnienia NZS. Podjęli stosowną uchwałę, która wielu ucieszyła, ale ja nie zrozumiałem, dlaczego miałyby być to „ozdoba ławeczka”. Ta uchwała miała odblokować sprawę postawienia pomnika przy bramie. Zadzwoiłem do Pawła i napisałem kilka zdań na Facebooku, także o tym, że do głowy wpadł mi pomysł, aby przy tej ławeczce znalazło się jeszcze miejsce dla studenta filologii polskiej UW w 1980 r., a pod koniec życia Gdańszczanina, Jacka Kaczmarskiego, który z nogą opartą na ławce stałby z gitarą i śpiewał... Zamarzyłem, aby w przyszłości miejsce z ławeczką stało się kultowe: Paweł na niej siedzi, Kaczmarski gra na gitarze, a współczesna studentka z laptopem i komórką relacjonuje powstanie NZS i spotkanie z nimi. Jednak uchwała sprawy postawienia pomnika do dziś w żaden sposób nie pchnęła do przodu. NZS UG nie otrzymał żadnego powiadomienia, aby mógł przystąpić do działania. Nie rozumiem dlaczego tak się dzieje. Może ma to coś wspólnego z dawnym z 1980 r. podziałem w środowisku na NZS i konserwatywne RMP, które to środowisko od 34 lat rządzi na Pomorzu... Urządziłem w lutym 2022 r. wspólnie z NZS UG i Muzeum Uniwersytetu Gdańskiego obchody 40. rocznicy konspiracji w stanie wojennej. Z kłopotami, bo była pandemia, dlatego mogli być tylko zaszczepieni. Paweł uprzedzał, że nie mam po niego przyjeżdżać, bo nie wie czy będzie mógł przyjechać, a jeśli będzie mógł, to przyjedzie tramwajem. Dzięki

zaangażowaniu Marty Szaszkiewicz, dyrektor Muzeum UG, w holu dawnego Wydziału Humanistycznego stanęło kilkanaście plansz wystawy pt. *Niepokonani*, do których dałem ilustracje. W dużej auli zebrało się około 100 osób, głównie dawnych działaczy „Solidarności” i NZS, ale było też kilkunastu członków młodego NZS. Był też Paweł, który podpierając się laską przydreptał z tramwaju na uczelnię. Przy wejściu spotkał się z Darkiem Józefowiczem, dawnym ofiarnym działaczem NZS poruszającym się teraz na wózku inwalidzkim, z którym żartowali, że na czterech kółkach, jeśli nie ma barier, szybciej można się poruszać niż przy pomocy laski.

Byłem niezadowolony z przebiegu spotkania, ale kogo bym nie zapytał to był zachwycony. Podobało im się to, że po tak wielu latach się spotkali, mogli się dowiedzieć co u kogo słychać. Ja byłem nie zadowolony, bo z powodu gadulstwa dwóch kolegów nie starczyło czasu, aby wspomnieniami podzielił się rektor Akademii Muzycznej, strajkował – z dwójką jeszcze swoich kolegów – z nami w Stoczni Gdańskiej w nocy z 15 na 16 grudnia 1981 r. Nie starczyło czasu, by Magda i Marek Czachorowie opowiedzieli o swoim ślubie w stanie wojennym za kratami więzienia, oraz prof. Anna Zielińska o tym co robił jej zmarły mąż w pierwszych godzinach i dniach stanu wojennego, były rektor prof. Robert Głębocki. Wiedza o naciskach partii i SB jest mała, to wciąż nieopisana karta historii. Na zakoń-



Paweł Huelle, podczas promocji książki *Śpiewaj ogrody*, PGS w Sopocie, 14 stycznia 2014 r. | Fot. L. Biernacki

czenie spotkania zapadła decyzja, że powołamy fundację lub stowarzyszenie NZS. Powołaliśmy, ale praktycznie nie działa. Zainteresowanie bowiem jest znikome.

Ze smutkiem widziałem jak z roku na rok Paweł marniał w oczach. W 2022 r. znalazł się w szpitalu. Chciał być w lepszej formie podczas planowanego jubileuszu 65-lecia. Rozmawiałem z nim. Mówił, że to nic groźnego. Zastrzeelił mnie pomysłem, abym zorganizował spotkanie/symposium by opowiedzieć o opozycji w inny sposób, o tym, o czym nic nie ma w książkach. Uprzedzał, że trzeba będzie do tej opowieści znaleźć odpowiednie miejsce... Słuchałem Pawła, nie komentowałem, jedynie konstatowałem w myślach, że planował coś w rodzaju publicznej spowiedzi i usprawiedliwienia. Paweł planował bowiem opowiedzieć, jak i gdzie w czasach PRL pędziło się w Trójmieście bimbrem, jak się upijano. Mówił, że jest do opowiedzenia dziesiątki jeśli nie setki historii. Rozumiałem, że chciał powiedzieć: patrzcie, nie tylko ja piłem, wszyscy pili, nie można było

inaczej w czasach PRL żyć. Największe, profesjonalne podziemne bimbrownie były podobno na Wydziale Chemii PG i w Teatrze Wybrzeże. Z bimbru, korzystała cała artystyczna bohema, jak i wielu działaczy opozycji. Pawłowi powiedziałem, że mogę się podjąć organizacji takiego spotkania i wspólnie możemy je prowadzić, bo jestem abstynentem (z rzadkimi wyjątkami dla czerwonego, wytrawnego wina), dlatego nasza alkoholowa średnia będzie przyzwoita. Był zadowolony ze swojego pomysłu. Sugerował, gdzie by o alkoholowej opozycji opowiadać. Śmiał się, chwalił statystykę uśrednionego alkoholizmu. Wtedy zapewniał mnie, obiecywał, że już nie pije i pić nie będzie. Nie zająłem się poszukiwaniem klubu, kawiarni, baru, odpowiedniego do alkoholowego tematu spotkania. Jego ulubiony irlandzki bar u zbiegu Jaśkowej Doliny z al. Grunwaldzką w Gdańsku, już nie istniał.

Natóg doprowadził u niego do dużych i nieodwracalnych zmian w organizmie. Tłumaczył się przede mną i innymi, że

” *Marysiu, szczęśliwsi to my już nigdy nie będziemy, trzeba te wszystkie chwile zatrzymać jak owada w bursztynie, przechowywać może dla naszych wnuków.*

Paweł Huelle, *Mercedes-Benz. Z listów do Hrabala*

nie jest tak źle, że to tylko stawy w kolanach mu nawalają, ale je się powoli naprawia, coś z kręgosłupem, albo, że płuca muszą być oczyszczone bo słabo oddycha. Naiwnie mu wierzyłem, ale znajomi mówią mi, że z alkoholem nie zerwał do końca. Jednak pamiętam, że po pobytach w szpitalach czuł się za każdym razem przez pewien czas lepiej. Na tyle, że w dobrej formie był bohaterem jubileuszu 65-lecia urzędzonego na jego cześć w Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku 9 grudnia 2022 r.

Dyskutowaliśmy o tym, czy łatwiej jest napisać powieść zasługującą na Nagrodę Nobla, czy opisać naszą historię. Dokuczałem mu, że może sobie zmyślać, a ja muszę trzymać się faktów. Całą naszą historię już opisałem, ale nie mogę znaleźć sponsorów na wydanie najważniejszej dla nas części dwutomowej *Reduty*, w której opisałem ludzi i wydarzenia w latach 1980-1985. Klepał mnie pocieszająco po plecach. Zafascynował mnie pomysł Pawła na kolejną powieść. Mówiłem mu, że będzie to powieść, za którą dostanie Nobla, że koniecznie ma ją pisać, sam pomysł jest niesamowity: – Odstaw na bok książkę o nas, bo twoja opowieść o Żydach w getcie w Wilnie jest fascynująca. Miała być to powieść o trójce Żydów w Wilnie (dwóch chłopaków i dziewczyna), żyjących w latach 1942-43 w getcie, gdzie katalogują zwiezione ze wszystkich żydowskich księgozbiorów i bibliotek książki. Niespodziewanie natykają się na zaginioną księgę żydowskiego proroka sprzed dwustu lat. Zaczynają ją czytać, dyskutować o niej i o nim. Objawia się cały żydowski mistycyzm. Przez cały czas są w oku cyklonu. Mistyka i śmierć, Uczuciowa gra między trójką bohaterów wśród sterty książ i obozowych strażników. Są wywózki do obozów.

Pomysł na kolejną książkę zdradził przybyłym na jubileuszowe spotkanie do Ratusza Staromiejskiego w Gdańsku. Zaczął ją pisać. Przesyłał fragmenty do wydawnictwa Znak. Nie wiem czy zostaną opublikowane.

W piątek wieczorem 9 grudnia 2022 Paweł w pełnej sali Ratusza snuł opowieści o życiu i prozie. Zdradził pikantny szczegół jak to po małej lampce szampana oświadczył się „najcudowniejszej na świecie” prezydent Gdańska Oli Dulciewicz. I o tym, jak dał w prezencie swoje pióro cudownej Japonce, tłumaczce jego książek, która odwiedziła go w mieszkaniu. Z sentymentem mówił jak przed wielu laty jechał ekspresem do Warszawy i spotkał piękną, rudą dziewczynę, na widok której oniemiał. Tym bardziej, że dziewczyna wyjęła z torby jego książkę i zaczęła czytać. Bił się w myślach, czy powiedzieć jej, że jest autorem tej książki. I tak bijąc się z myślami jechał słuchając turkotu kół i świstu wiatru, aż dziewczyna wysiadła gdzieś w ławie, czy innym mieście. Paweł opowiadając o tym publicznie, zdradził, jakie są prawdziwe jego męki i jak „niebezpieczne” są takie spotkania z kobietami mającymi rudą kitkę. Po spotkaniu bił się przede mną w piersi zapewniając, że ruda dziewczyna nie była zmyślona. Opowiadał też o mękach twórczych z powodu niemożności dotrzymania terminów.

Napisałem kilka słów na Facebooku, zamieściłem zdjęcia. Wspomniałem, że nic nie mówił o książce o naszym pokoleniu. Na drugi dzień zadzwonił do mnie. Zapewniał, że nie porzucił planów napisania o nas opowieści, że cały czas zbiera do niej materiały, coś szkicuje. Odpowiedziałem mu, że to znakomicie, ale proszę, by najpierw napisał powieść o Żydach i tajemniczej, odnalezionej księdze. Myślę, że Paweł dałby koniec tej powieści dający nadzieję, że w świecie możliwe jest dobro, że zło nigdy nie będzie w stanie wymazać miłości i mistycznego przeczucia nieskończoności. Nawet jeśli bohaterowie mieli by zginąć w komorze gazowej, to być może przetrwałaby księga, która gdzieś znowu by zaginęła... Może opublikowane fragmenty coś wyjaśnią.

Śmierć przerwała także jego pracę nad sztuką teatralną dla Teatru Miejskiego na -100lecie Gdyni. Planował adaptację na wesoło *Moralność pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej. Akcja miała toczyć się w przedwojennej Gdyni.

Dzięki Pawłowi powstał Komitet Solidarności Gdańsk – Zaporozie. Po napaści Rosji na Ukrainę w 2014 roku kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Wróciliśmy do tych rozmów pod koniec lutego 2022 r. Paweł zaproponował, aby ci, którzy działali w sierpniu 1980 r., którzy wówczas nie byli obojętni, nie byli obojętni i dziś „– Musimy działać”. Ucieszyły mnie jego słowa, byłem tego samego zdania. Wykonałem kilka telefonów, przede wszystkim do Jarka Słomy, który tuż po rozpoczęciu wojennej agresji zaczął współpracować z Kozakami z Zaporozia. Były jeszcze telefony do Marka Kotlarza, Miłosza Wierchowskiego i Jacka Jancelewicza. Zebraliśmy się w „Małym molo”, czyli barku przy plaży w Sopocie (ze Słomą było łączenie telefoniczne). Zaprosiłem jeszcze młodą studentkę Marcelinę Wilczewską, która na uniwersytecie rozkręciła zbiórkę pomocy dla Ukrainy. Ustaliliśmy, aby inicjatywę nazywać Komitet Solidarności Gdańsk Zaporozie i zapraszać do niego osoby związane z działalnością opozycyjną w latach PRL. Przewodnią ideą była pomoc dla szpitala dziecięcego w Zaporoziu. Powstanie Komitetu ogłosiliśmy w ECS. Na tyle na ile mogliśmy, na tyle pomogliśmy.

Gdy wracaliśmy z tego spotkania w barku przy plaży rozmawiałem z Pawłem o tym, że nie do zniesienia jest obecność Rosyjskiego Domu Kultury i Nauki na ul. Długiej w Gdańsku. Mówiłem mu, że ma tak wielu znajomych literatów w Białorusi i Ukrainie, że najlepiej nadawałby się na szefa ośrodka kultury Ukraińców i Białorusinów Polsce. Ta myśl go chyba uwiodła, zaczął wymieniać nazwiska znajomych poetów i pisarzy. Opowiadał, że jako członek i wiceprzewodniczący PEN Clubu, miał w tych krajach dobre kontakty i przyjaciół. Moglibyśmy im wydawać prozę i poezję, wystawiać obrazy, organizować spotkania i kręcić filmy. Mówiłem mu, że jako Komitet możemy wystąpić z odpowiednią inicjatywą do miasta. Po zastanowieniu powiedział, że jednak najpierw musi się lepiej poczuć, bo to nie byłoby lekkie zajęcie.

Ukraińcy za pomoc im udzieloną przyznali członkom Komitetu Solidarności honorowe dyplomy. Zostały podpisane przez mera Zaporozża, a przywiózł je do Polski ataman Aleksandr (Ołeksandr) Prituła (Pritula), prezydent Ogólnoukraińskiej Federacji Kozackich Sztuk Walki SPAS. Wysłałem do Pawła sms, że musi koniecznie przyjść do ECS, gdzie została zorganizowana uroczystość. Niestety, gdy wysyłałem sms nie wiedziałem, że już nie żyje. Gdy odbierałem jego dyplom powiedziałem, że to dzięki niemu została zainicjowana akcja powstania Komitetu, że choć później nie miał siły by w pełni zaangażować się w akcję pomocową, to ważne jest to, że dał znak, by do takiej akcji przystąpić, że cały czas nam kibicował, dał swoje nazwisko. Paweł to setki, tysiące związanych z nim wydarzeń, anegdot, myśli. To wspaniała literatura, z której ja najwyżej cenię Śpiewając ogrody i ostatni tom opowiadań *Talita*, w tym niezapomniane, kończące tom, pamiętnikarskie opowiadania *Cadyk* o wyprawie przez Ukrainę. Pod wpływem jego książek brałem aparat fotograficzny i wędrowałem po uliczkach Oliwy i Wrzeszcza szukając śladów bohaterów jego książek i klimatu jego opowieści. Powiedziałem mu o swoich wyprawach. Obiecał, że na pewno na jakiś spacer się ze mną wybierze, bym sfotografował te miejsca, które z różnych powodów tkwią mu w pamięci, a nie specjalnie opisał je w opowiadaniach i książkach. Nie zdążyliśmy się już na spacer wybrać.

Przez ostatni rok coraz częściej rozmawiało mi się z Pawłem. Już barwa jego głosu i sposób mówienia, zdradzały, że jest z nim coraz gorzej. Denerwowałem się, mówiłem mu, to co mówi się chorym, że ma się zabrać za leczenie, że to już być może ostatni dzwonek. On na to tak jak zwykle, że lekarze o niego dbają, nie jest tak źle, chodzi na badania, tyka lekarstwa, że niedługo będzie lepiej. Ma znajomych, którzy mu pomagają. W sierpniu 2023 był znowu w szpitalu, skąd do mnie dzwonił. Miał pozytywną opinię o leczeniu i opiece lekarzy. Gdy wyszedł ze szpitala we wrześniu to zastał w mieszkaniu lokatora, którego za jego wiedzą i zgodą podrzucił mu nieodpowiedzialny znajomy, który nie miał wyobraźni, w jakim stanie jest Paweł, że potrzebuje spokoju. Najpierw zaniepokojony Paweł zadzwonił do mnie jeszcze ze szpitala, ale kilka dni później z ulgą informował,

że udało mu się z mieszkania pozbyć lokatora, że to najbardziej toksyczny i zakłamywany na świecie osobnik jakiego znał. Żałował, że tak późno się na nim poznał, że ten człowiek tak wielu ludzi, w tym najbliższych, skrzywdził, także i mnie. Z powodu pobytu w szpitalu nie mógł być na rocznicowym spotkaniu przy bramie stoczni. Rozmawialiśmy przez telefon przed i po rocznicy. Przekazałem na Facebooku jego pozdrowienia: „Paweł Huelle, który nie mógł być w niedzielę przy bramie stoczni, a któremu zdałem dokładną relację ze spotkania i przekazałem pozdrowienia od wszystkich, wpadł na genialny w swojej prostocie pomysł, co można by jeszcze zrobić, by utrwalić pamięć o naszej przeszłości. Sam chce pomysł zrealizować, więc na razie nie zdradzę, o co chodzi. Musi bowiem najpierw pójść na kilka spacerów po swojej okolicy, aby coś wyszukać. Wszystkich gorąco pozdrawia i ściska” (28 sierpnia 2023 r.).

Paweł mianowicie wpadł na pomysł, że skoro nie udało nam się przezwyciężyć przeszkód w postawieniu pomnika, to on ma pomysł na pomnik minimalistyczny. Nikt nie mógł by nam przeszkodzić. Chciał znaleźć czerwoną cegłę. Na niej mieliśmy złożyć swoje autografy. Bardzo mi się ten pomysł spodobał. Nie chciał, abym to ja gdzieś cegłę znalazł i mu przyniósł: – Zrobię to sam, przecież nie umieram, ha, ha. Po pewnym czasie, powiedział, że co tam cegła, trzeba mur, postument wymurować, każdy niech z cegłą przyjdzie, zaprawę na miejscu się jakoś zrobi. Na spacer w poszukiwaniu cegły już nie poszedł.

Pomysł Pawła ciążył na mnie jakby to był jego testament, jego pomnik. W 45. rocznicę powstania NZS w 2025 r. udało mi się ten pomysł wcielić w życie. Wszystko zależało od naszych czterech dzielnych dziewczyn z NZS UG, które nazwałem Amazonkami. Paweł ich widokiem byłby zachwycony. Nie mogliśmy spotkać się w miejscu, gdzie od zawsze się spotykaliśmy. Służby Ochrony Państwa wygrodziły ten teren ze względu na nowego prezydenta. Poszliśmy na przeciwległy koniec placu Solidarności. Dziewczyny przyniosły deskę, wspaniale wyglądały i przemawiały. Ania Rozmystowicz przecięła wstęgę i pierwsza po mnie złożyła swój podpis na cegle „im. Pawła Huelle”, co własnoręcznie na niej już w domu napisałem. Będzie mógł być teraz pomnik postawiony nawet w biurze NZS na uczelni. Nikt go

”

Nie zapomniałem tamtego dnia u schyłku lata, gdy po raz ostatni byłem z ojcem na plaży. Nie, nie zmarł ani nie rzucił nas dla młodszej kobiety. Po prostu zawsze przychodzi taki dzień, kiedy idzie się z ojcem na plażę czy nad jezioro ostatni raz. Potem jeździ się w takie miejsca już tylko z kolegami, w klasowej paczce, szukając dziewczyn, taniego alkoholu i innego rodzaju wrażeń, które uchodzą za fundamentalnie przełomowe.

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*



Paweł Huelle, podczas promocji książki **Wielka powieść** w ogródku, PGS w Sopocie, 14 stycznia 2014 r. | Fot. L. Biernacki

nam nie zniszczy. Paweł dał mi przed laty kart blanche, by podpisywać wszystkie petycje jego imieniem w sprawie pomnika, NZS, Ukrainy i spraw historycznych. Dlatego nie wahałem się cegły podpisać jego imieniem. W ten sposób, mam nadzieję, Paweł nie będzie nieśmiertelny jedynie na polu literatury, ale i w historii Zrzeszenia, które obalało komunę, bo tak wiele serca w ten ruch włożył w 1980 r., jak i w pamięć o nim w XXI wieku. Paweł zawsze był z nami i z nami pozostanie.

Cegła trafiła do młodych dziewczyn. Wzięły ją ze sobą, będą o nią dbały i zbierały dalsze podpisy. Jak zabraknie na cegle miejsca, skombinują nowe. Będzie się działo. Nie zrezygnują z organizacji corocznej budowy pomnika w miejscu, gdzie miałby stanąć. Za rok w 2026 r. spotkamy się tu znowu. Oby nikogo z nas nie zabrakło. Znowu będzie deska, wstęga, nożyczki, przemowy, śmiechy i wzruszenia. Oczywiście „cegła im. Pawła” też będzie.

Paweł wrócił ze szpitala do mieszkania, w którym chciał w spokoju pracować nad książką, ale miał bardzo duże kłopoty by się do pisania zmusić. Pytał mnie o różne sprawy. Mówiłem mu o tym, co się dzieje u mnie, u Kozaków w Ukrainie, u kumpli z dawnego NZS. Lubił słuchać, sam jak zwykle chętnie też opowiadał. Z nieukrywaną życzliwością mówił, że teraz najbardziej pomaga mu Ania, jego była żona,

że to ona okazała się, mimo jego grzechów, najbardziej mu pomocna.

Miał okropne kłopoty z okiem, z którego kapła krew. Opowiadał, że jak się obudził to zobaczył, że wszędzie na pościeli są plamy krwi. Ania mu pomogła, znalazła lekarza. Mija kilka dni. Paweł dzwoni. Mówi, że muszę do niego przyjechać, bo czuje się fatalnie, a dziś miał być u okulisty na badaniach kontrolnych. Nie jest w stanie nic zrobić, nie może nawet się ubrać bo nie ma sił. Przyjeżdżam. Wygląda kiepsko, ubrany w szlafrok, mam wrażenie, że ledwo stoi, że tylko cudem otworzył drzwi. Daje kartkę z rejestracją daty wizyty u lekarza i mówi, że mam jechać do szpitala na Zaspie i przetożyć u lekarza termin. Pojechałem. Czekam cierpliwie na korytarzu przed gabinetem w kolejce. W końcu udaje się porozmawiać z lekarzem, który mówi, że ustalić kolejny termin mam w okienku na parterze w rejestracji, a nie u niego. Wszystko udaje się tam załatwić. Kolejny termin gdzieś za dwa, trzy tygodnie. Dzwonię do Pawła, przekazuję informację o nowej dacie wizyty. Nie mogłem do niego podjechać, bo pędziłem do Gdańska do pracy. Po kilku dniach jestem u niego, bo czekał na kartkę z datą wizyty. Poprosił, bym w Żabce kupił mu wodę do picia, a może sok. Mówię, że mogę mu zrobić większe zakupy. Odpowiada, że mam nie robić, bo pomaga mu Ania, ale

przydałby mu się nowy przedłużacz z kilkoma gniaздkami, bo stary się przepalił. Proponuję, że przedłużacz podrzuci Jacek Jancelewicz. Odwiedził go dzień później, ale na krótko. Podłączyli do nowego przedłużacza to, co miało być podłączone. Wszystko zadziało. Jacek się zmył, nie miał czasu, ale umawiali się na kolejne wizyty, do których już nie doszło.

Po powrocie z Żabki Paweł koniecznie mnie zatrzymuje, chce porozmawiać. Częstojuje kawą. Jej aromat roznosi się po całym mieszkaniu. Siadamy przy stoliku w małej kuchni. Rozmawiamy może 40 minut, może godzinę. Na ścianie wiszą jego pamiątkowe zdjęcia z różnych lat z różnymi ludźmi. Nie ma wśród nich zdjęcia spod stocznii jak siedział na ławeczce i wymyślał *Apel*. Pytam, czy chciałby, aby zawisło na ścianie. Oczywiście, że tak. Obiecuję, że dostanie w prezencie na gwiazdkę.

Zwiera się, że ma kłopoty z jedzeniem. Że ostatnio Ania przyniosła mu super pachnącą zupę, był głodny, ale nie mógł nic przetrknąć. Zmartwiłem się. – Musisz skonsultować się z dobrym lekarzem, organizm alarmuje, że dzieje się źle – mówię. On na to, że oczywiście, z lekarzami się konsultuje, ale to sprawa dla psychologa, bo to objaw depresji, z którą przecież sobie poradzi. Pytam go, czy nie przydałaby mu się stała pomoc, którą może zapewniłoby miasto. Ktoś codziennie by go odwiedzał. On na to – Nie wygłupiaj się. Żabkę mam pod bokiem, już nieźle się czuję, do sklepiu dojdę.

Paweł obiecał, że jak tylko czegoś będzie potrzebował, jak się źle poczuje, to jak zwykle będzie dzwonił, a dzwonił nie tylko do mnie, ale i do różnych znajomych. Nie wchodziliśmy sobie w butach w zakamarki życia osobistego, nie obgadywaliśmy znajomych. Zostawiałem to jako strefę zastrzeżoną, intymną, prywatną.

Raz zadzwonił o około czwartej nad ranem. Miał pretensję, pytał dlaczego czegoś nie zrobiłem, do kogoś nie poszedłem, czegoś nie przyniosłem, czegoś nie załatwiłem. Ledwo kojarzyłem, wyrwany ze snu, sens zdań. Pytam do kogo, co, jak? Tłumaczy, że przecież wiem, bo doskonale znam, a wczoraj mnie spotkał z moją siostrą na ulicy jak do niego szliśmy i o tym rozmawialiśmy. Odpowiedziałem: – Nie mam siostry. Pomyliłeś czwartą rano z czwartą po południu. Nie wiem o co ci chodzi, zadzwoń później. Położyłem

się dalej spać. Zadzwonił z przeprosinami następnego dnia. Tłumaczył, że miał tak realistyczną wizję/sen, że uznał to za niepodważalny fakt. Nie miałem mu za złe. Pomyślałem, że może wyobrażał sobie fragment kolejnego opowiadania lub powieści, że snuje literackie fantazje na przyszłość, a więc dzieje się dobrze. On przecież tak pisał. Najpierw układał w głowie, później zapisywał w notesie lub komputerze.

Na kolejny termin do okulisty sam pojechał. Mówił, że czuje się lepiej i sobie radzi. Po wizycie dał znać, że jest dobrze. Na początku listopada przypomniałem mu, że 22 września podpisałem go pod stanowiskiem w sprawie Ukrainy, a dotąd mi tego elektronicznie nie potwierdził. Zrobił to 14 listopada o godz. 19:43, gdy napisał mi pod przestaną do niego wiadomością „Pełna akceptacja” z uśmiechniętą buźką. Nie miałem intuicji, że na dniach może się zdarzyć najgorsze. Czułem, może za sprawą tej internetowej uśmiechniętej buźki, że jest dobrze, że idzie ku dobremu. Od tygodnia nie dzwonił, a więc daje sobie radę, pewnie pisze o Żydach w getcie, jest dobrze. W przeszłości przecież uprzedzał mnie, że nie będzie dzwonił i odbierał telefonów, bo coś pilnego musi dokończyć. Tak było, gdy np. kończył pisać dramat o *Kursku*. Przyznałem mu się, że nie widziałem, a czytałem rewelacyjne recenzje. – Nic straconego – mówi. Na wiosnę 2024 przedstawienie zostanie wznowione, na pewno dam ci zaproszenie. Został znaleziony martwy w mieszkaniu 27 listopada 2023 r.

Gdy we wspomnieniu o Huelle przeczytałem, że pod koniec życia Paweł często powtarzał, że czas odejść (Piotr Millati, *Pisarz, który wymyślił nasze miasto*), to mam ochotę krzyknąć, że to nie jest prawdą! Męczyły go kłopoty ze zdrowiem, ale się nie poddawał. Opowiadaliśmy sobie, co będzie na gwiazdkę, że w przyszłym roku wyda nową książkę, że pójdziemy zobaczyć przedstawienie, że w końcu znajdziemy cegłę. On mi życzył, bym wydał swoją, że już tak długo nie może się jej doczekać. Nie myślał o odejściu, być może się tego obawiał, ale na pewno chciał dalej żyć i tworzyć. Miał pomysły. Nie uważał, że jak brakuje mu zdrowia i siły, to trzeba żegnać się ze światem. Wierzył wciąż, że jakimś cudem mu się poprawi. Nie wierzę, aby tylko tak grał przede mną, a przed innymi mówił co innego.

Prawdą jest, że uznał dzisiejszy świat za obcy, w którym nie ma miejsca na ideały, w które wierzył, na to, co uważał

”

– Czy nie rozumiesz, że słowa nie padają w próżnię? – odparł. – To nie są igraszki. Tam, gdzie pali się książki, skończy się na paleniu ludzi. Wiesz, kto to powiedział? Nie pamiętałam.

– Heine.

Paweł Huelle, *Śpiewaj ogrody*



Fot. Leszek Biernacki

za najważniejsze. Gorzkimi refleksjami dzieliliśmy się od dawna. Rozliczenie dawnych ideałów, które rozminęły się z teraźniejszością, miało się znaleźć w książce o naszym pokoleniu. Myślę, że z tego powodu była to trudna książka do skonstruowania i napisania. Pewnie nie chciał ograniczyć się jedynie do czasu PRL, ważna byłaby rzeczywistość wolnej Polski po 1989 r. Losy bohaterów snułyby się przez lata, różne wydarzenia, nieuchronne kontrasty. Nie wiem czy i jak opisywałby też losy tych, którzy znaleźli się u szczytów władzy i to, jak wpłynęli na losy kolegów, którzy mieli różny stosunek do tej władzy. Książka była by utkaniem z dziesiątek anegdot, wesołych ale i poważnych opisów, tajemnic konspiracji, wielu portretów, miłosnych westchnień, opowieści o walce przy realizacji młodzieńczych ideałów, konformizmie i nonkonformizmie, sentymentalnych drobniactwach, literackich zachwytach. Z tego wszystkiego, co nam w czasach studiów i konspiracji towarzyszyło. To nie miała być powieść o kombatanctwie, miała być o życiu, marzeniach, literaturze, zderzaniu się nieustannym ze zmieniającą się rzeczywistością, powieść o kumplach, ich losach i namiętnościach.

Paweł dał Gdańszczanom zakorzenienie w przeszłości. Nas zakorzenieć w historii nie zdążył. Pozostawił przestrołę swojego ojca, która jest aktualna do dziś, a której sam, ku swojej zgubie, nie przestrzegął:

* * *

Ojciec nie lubi kłamstwa, przekleństw, alkoholu,
– Bądź czysty – mówi – tylko to nam zostaje,
Nawet jeśli nie wiara w Boga, synu,
Są momenty, kiedy światło przestaje być
Zwyczajnym blaskiem, miłość pożądaniem –
Są takie momenty w życiu każdego człowieka.
(Paweł Huelle, *Wiersze*, Wydawnictwo Atext, Gdańsk 1994)

Pozostawił po sobie nie tylko książki, wiersze i dramaty, ale i dokument, który przeszedł do historii, w którym na końcu, wspólnie z Andrzejem Zarębskim, zamieścił wciąż aktualne zdanie: „Żądamy demokracji, bo to jest jedyna droga wyjścia z obecnego kryzysu”.

Leszek Biernacki



Czy Paweł Huelle to klasyk?

Wojciech Fułek

9 grudnia 2022 Nadbałtyckie Centrum Kultury uroczyście celebrowało jubileusz 65. urodzin Pawła Huelle i 35. rocznicę wydania jego debiutanckiej powieści *Weiser Dawidek*. Z kolei najnowszą książkę autora – *Talita* – gdańszczanie wypożyczali w minionym roku najczęściej, jak wskazują badania Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Josepha Conrada Korzeniowskiego. Po premierze czytaliśmy, że autor jest: „wierny tradycyjnym konwencjom”, jego proza – „staroświecka”, styl pisarski – „staromodny”, zbioru opowiadań, z pełnym zrozumieniem, czytać się nie da przed czterdziestką.

Wszystkie te sformułowania mają wspólny mianownik: Huelle jawi się w nich jako pisarz, do którego twórczości trzeba z wiekiem dojrzeć, używający nieco „zastygłego” języka i stylistyki literackiej, oraz sięgający do doskonałych, najlepszych, wysublimowanych kanonów i wzorców artystycznych, ale jednak zdecydowanie odległych od nowych zjawisk i języka XXI wieku. Czy zatem autor *Śpiewaj ogrody* jest już współczesnym klasykiem, którego opowieści młode pokolenie czytelników nie zrozumie, bo są dla niego inne, obce, a może nawet „martwe”? Czy naprawdę jest anachronicznym XXI wiecznym pisarzem rodem z XIX wieku?

Nic bardziej błędnego. *Talite* poleciłbym każdemu, zwłaszcza młodym czytelnikom, którzy chcą się na chwilę zapomnieć i zaczytać w mistrzowsko skonstruowanej prozie. To 12 opowiadań, sięgających do naszego wspólnego dziedzictwa i starobiblijnych korzeni każdej dobrej literatury. Trudno się nie zgodzić z Janem Kottem, który niezwykle trafnie napisał o tej książce: „opowieści Huellego są głębiej zanurzone w tradycji od chyba niemal całej naszej współczesnej prozy”. Ale jednocześnie są też przejmująco współczesne w swoim przesłaniu: to historie zakotwiczone w przeszłości, które powinniśmy jednak odczytywać z naszej dzisiejszej perspektywy. To 12 opowieści, w których – jak w starym, zakurzonym i zniszczonym zwierciadle – odbija się wszystko to, co najważniejsze. Życie, śmierć, miłość, tęsknota i to, co rozpięte pomiędzy nimi na cienkich nitkach nieskończoności. Paweł Huelle powraca z *Talitą* po długim (może nawet nieco zbyt długim) okresie milczenia w swojej najlepszej formie. „Jestem już w tym wieku, że nie muszę się spieszyć” – oznajmia w jednym z wywiadów. A literackie danie, które nam serwuje, mimo iż czekaliśmy na nie wyjątkowo długo, smakuje wybornie. Może nawet jeszcze lepiej po długim okresie postu czytelniczego? Bowiem autor udowadnia każdym kolejnym opowiadaniem, że jest mistrzem misternie cyzelowanych

i inkrustowanych opowieści z przeszłości, w których bez problemu możemy odnaleźć współczesne (a może raczej nieśmiertelne i niezależne od czasu) emocje i wzruszenia. Akcja tytułowej *Tality* i kończącego zbiór *Cadyka* dzieje się współcześnie, mimo iż Huelle zastrzega się: „teraźniejszość wydaje mi się coraz bardziej miętka i zniechęcająca”. Ale ta pozorna/pozorowana/upozowana współczesność zabiera nas w czas przeszły, dawno miniony. Na pytanie, dlaczego woli historię od teraźniejszości, autor odpowiada, że nie da się „zagonić do zagrody współczesnych pisarzy, którzy podejmują bieżące tematy”. Bo zdecydowanie woli czas przeszły, który lubi za to, że „ma większą dystynkcję”.

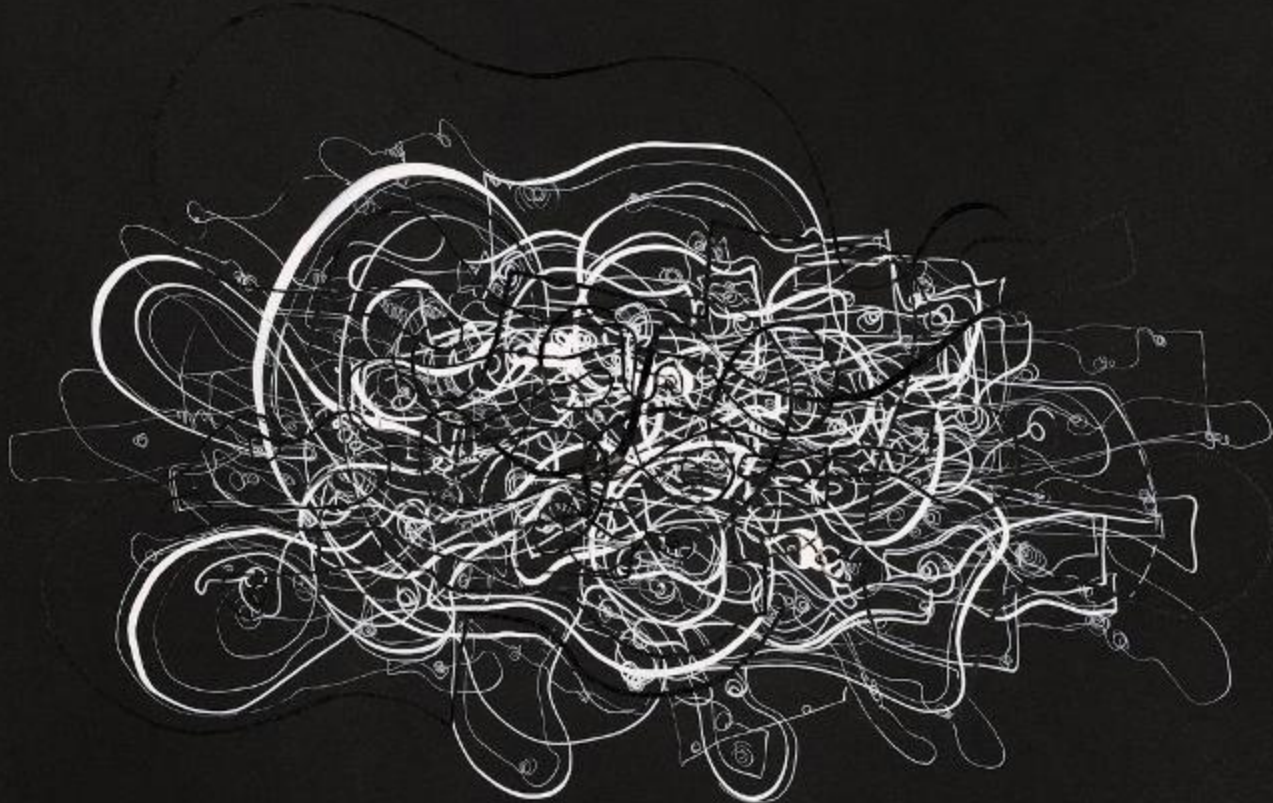
Nie chcę opisywać wątków i fabuły poszczególnych opowiadań tego tomu, bowiem – mimo że dotyczą one zupełnie innych bohaterów, a w niektórych przypadkach, wydawałoby się, nawet kompletnie odmiennych światów i tematyki – stanowią jednak, paradoksalnie, wzajemnie uzupełniającą się i samokomentującą opowieść. Poza tym jest to historia/historie, które każdy powinien opowiedzieć – jako swoiste medium czytelnicze – sobie sam, używając słów i klucza, które przekazał nam autor. I poszukując nie tylko własnych emocji, które niewątpliwie wyzwalają, ale i tajemnic, które skrywają. Proza Huellego może być bowiem zwodnicza i prowadzić każdego z czytelników w zupełnie odmienne rewiry. Autor – jak każdy (nie napiszę stary, bom wszak z tego samego rocznika) mistrz – wymaga bowiem od swoich czytelników więcej, niż na pozór mogłoby się wydawać. Dlatego może rzeczywiście do tej prozy trzeba jednak dojrzeć i dorosnąć, aby w pełni ją docenić?

Nie zgodzę się jednak ze stwierdzeniem, że Huelle „sklasycyzował”, co – nieco paradoksalnie – kojarzy się bardziej z zastygnięciem, skostnieniem i powtarzaniem pewnej sprawdzonej formuły, niż z podziwem i honorami, niewątpliwie należnymi klasykom. *Talita* potwierdza tylko jego świetną literacką formę i doskonały warsztat.

„Pracuję w takim cyklu, że wydaję powieści na zmianę z opowiadaniem” – zwierza się pisarz w wywiadzie. Czekam zatem, uzbroiwszy się w cierpliwość smakosza, na kolejną powieść. I wierzę, że im dłużej będziemy na nią czekać, tym bardziej wyrafinowanej ucztą możemy się spodziewać.

Wojciech Fułek

Paweł Huelle, *Talita*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2020.



Maciej Świeszewski, rysunek bez tytułu | reprodukcja dzięki uprzejmości Artysty



Maciej Świeszewski, rysunek bez tytułu | reprodukcja dzięki uprzejmości Artysty

Tratwa szaleńców

Dekoracje epoki

Paweł Huelle

Czy można – w sposób skrótowy, ale konkretny – zamknąć miniony wiek XX jakąś istotną klamrą pojęciową? W dziedzinie polityki, postępu technicznego czy przemian społecznych, zadanie to nie wydaje się zbyt trudne. Kiedy jednak wkroczymy na terytorium sztuki, natychmiast wyrośnie przed nami – niczym Dantejski las rzeczy – gąszcz zagadnień tak trudnych, splot pytań tak skomplikowanych, zespół intuicji tak niejasnych, że trud interpretacji czyli najgłębiej ludzkie pragnienie rozumienia – może być narażone na szwank.

Kiedy w 1961 roku Koreańczyk Nam June Paik, związany amerykańskim ruchem Fluxus, roztrząsał na oczach publiczności trzymane najpierw w dwóch palcach skrzypce, gest ten, potraktowany jako działanie w pełni artystyczne, wzbudził w wybitnym teoretyku tego ruchu – Dick'u Higginsie – bardzo wysoka ocenę, jako „rozkosznie odświeżający w kontekście klasycznej sceny muzycznej końca lat pięćdziesiątych, niezwykle intelektualnej i wysoce celebralnej”. Ten sam Dick Higgins, gdy ujrzał dokładnie taki sam performance dwadzieścia kilka lat później, nazwał go „ohydny, negatywnym wyrazem postawy artystycznej, tak bardzo dzisiaj powszechnej”. W obu tych, tak skrajnie przeciwstawnych określeniach papieża współczesnej sztuki, tylko pozornie mamy do czynienia z niekonsekwencją. W istocie Higgins jest bardzo konsekwentny: wymagając od sztuki właściwie tylko jednego: prowokacji i złamania tabu. „Odświeżająca rozkosz” może zamienić się w „ohydę” w momencie, gdy nikogo już nie obraża, czy nie budzi skrajnych emocji. A ponieważ czas ulega w naszej elektronicznej cywilizacji coraz większemu przyspieszeniu, owe „dwadzieścia kilka lat później” dzisiaj brzmią wręcz naiwnie. Artefakt zarejestrowany w piątek, przed weekendem, już w poniedziałek staje się nieświeży i przebrzmiały. Najbardziej wydawałoby się awangardowa i niezależna od *vox populi* teoria sztuki, wepchnęłaby ją w obszar żelaznych

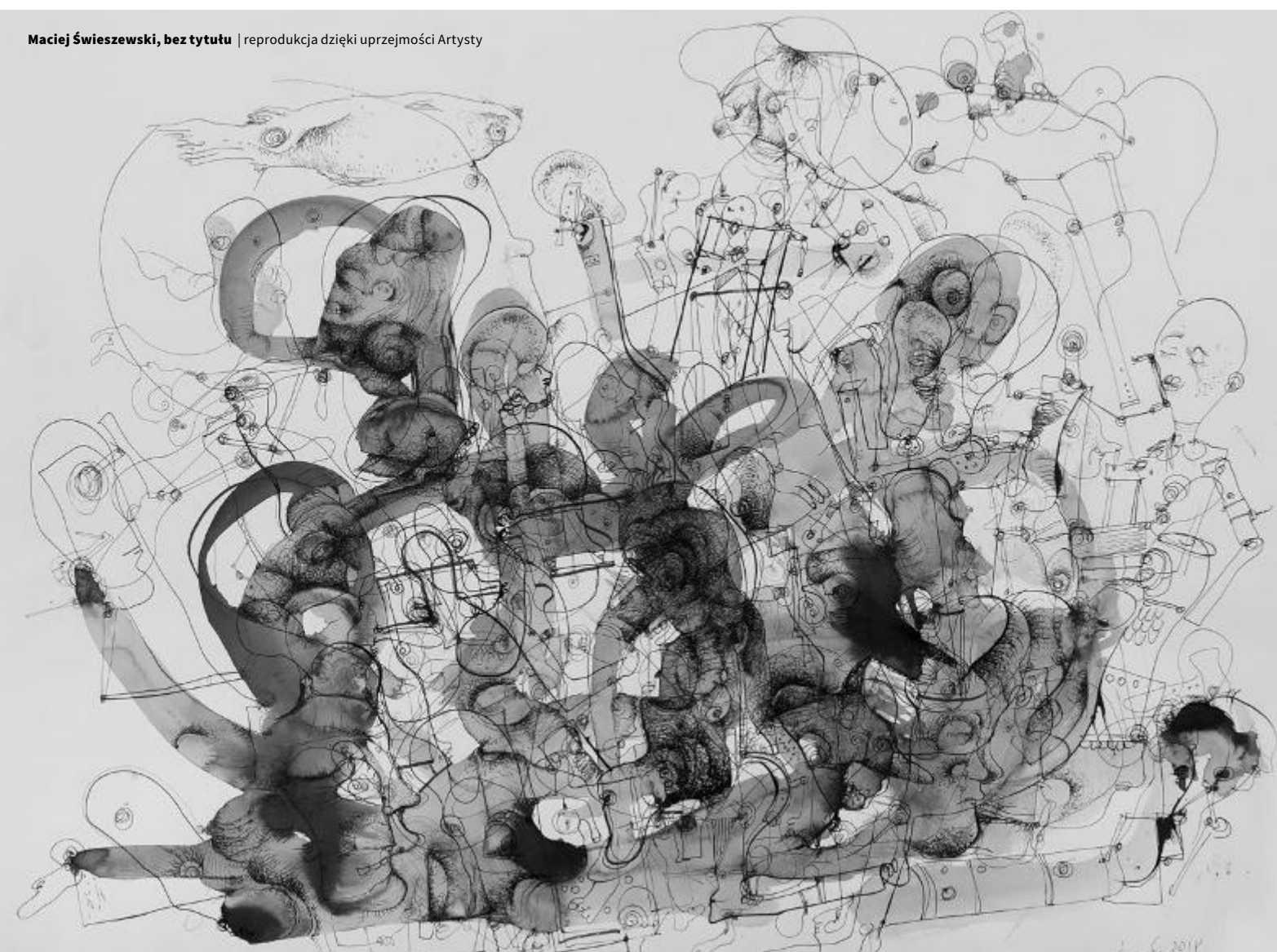
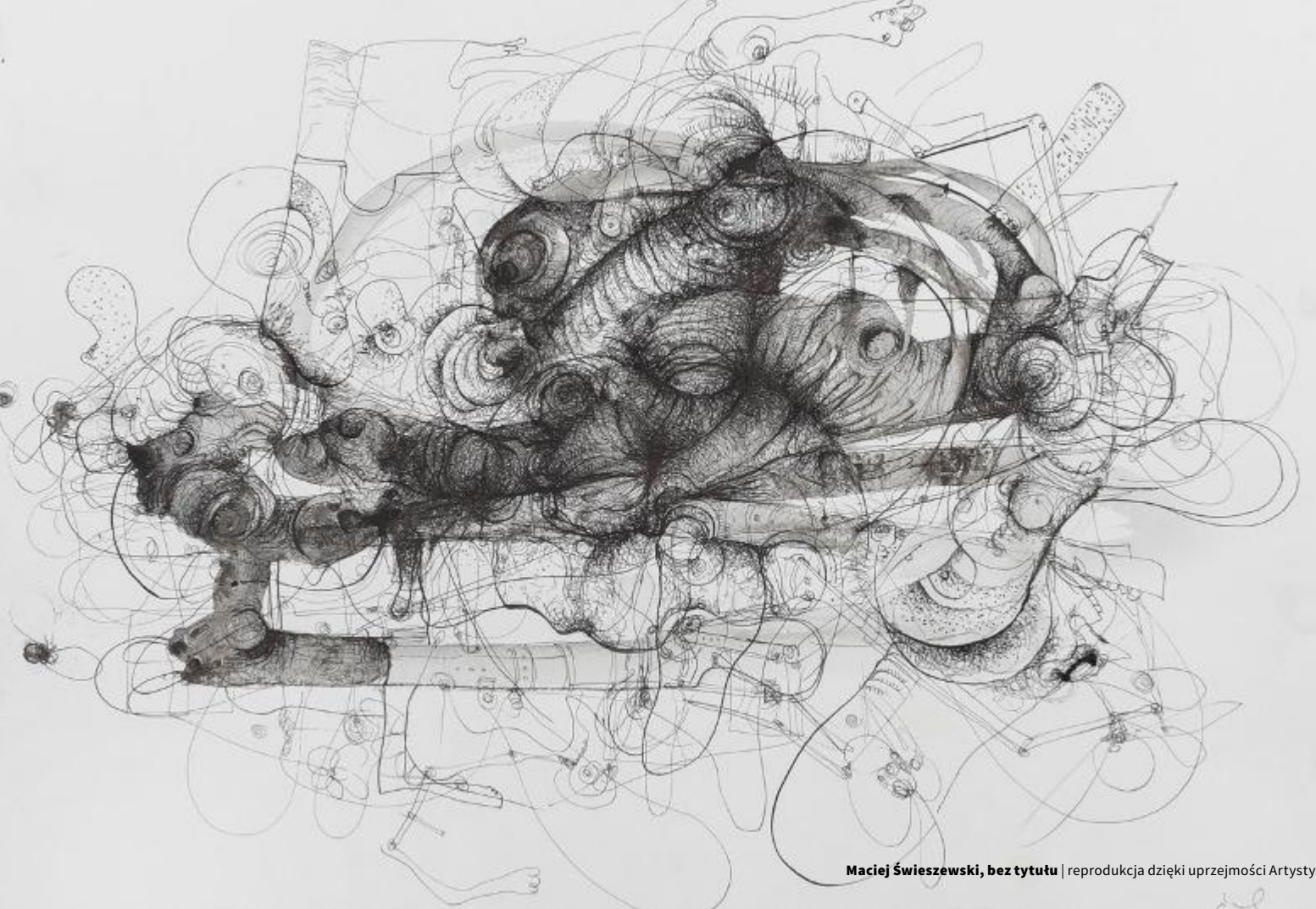
zasad handlu owocami, czy konfekcją: ważna jest przecież nieustannie owa „odświeżająca rozkosz”, zupełnie tak, jakby artysta projektować miał i dostarczać publiczności co rusz nowej generacji dezodorantów, znikających wraz z potem całego dnia pod wieczornym prysznicem. Niektórzy, jak Stockhausen, posuwają się przy tym do rzeczywistej granicy minimalnej, choćby, ludzkiej przyzwoitości. Nazywając atak 11 września „wspaniałym dziełem sztuki”, podziwiając jego wykonawców, jak „artystów, którzy długo musieli przygotowywać swoje dzieło”, nie odbiegł jednak daleko od teorii, głoszących przez całe dziesięciolecie po obu stron Atlantyku, że sztuka jest wszystkim tym, co artysta zechce za sztukę uznać – w danym momencie i wyłącznie według własnych reguł.

O podobnym zjawisku, tyle, że relacjach społecznych, pisze w swoich znakomitych książkach Zygmunt Bauman. Istotą naszej ponowoczesnej epoki jest jego zdaniem – zjawisko surfowania. Współczesny mieszkaniec globalnego polis charakteryzuje się nade wszystko umiejętnością szybkiego, płynnego przechodzenia od jednej rzeczywistości do następnej, nie przywiązując się do żadnej, ponieważ każde, jakiegokolwiek – choćby i chwilowe – zakotwiczenie, oznacza utratę prędkości przemieszczania, a to z kolei przekłada się na mniejsze możliwości poznania nowych, interesujących propozycji. Bowiem strategią ponowoczesnego życia jest

”

Świat mojego dzieciństwa, ten świat, w którym pierwszomajowe pochody mieszały się z pielgrzymkami do świętych miejsc, obrzydł mi zupełnie.

Paweł Huelle, *Opowiadania na czas przeprowadzki*



konsumencki stosunek do rzeczywistości. Jakość i wartość egzystencji oceniana jest po tym, jak wiele różnorodnych rzeczy potrafimy wchłonąć, a następnie wydalić bez zbędnych komplikacji. Przekładając to na obszar sztuki – i w nim liczy się obecnie przede wszystkim sugestywna siła nowości. Wszelkie inne kryteria podobno skutecznej anihilacji przez wykluczenie, śmieszenie, bądź przemilczenie, a postawa taka, w znacznym stopniu nagradzana i wzmacniana przez media, stała się de facto jedynym kodem w społecznej komunikacji sztuki. Nic nie budzi dzisiaj większego skandalu niż próba mówienia o wartościach, przy zupełnej bezwartościowości organizowanych skandali w sztuce.

Jeden z najwybitniejszych filozofów minionego stulecia. Karl Popper, określił to zjawisko mianem progresywizmu, podkreślając, że o ile pojęcie postępu w naukach przyrodniczych, czy warunkach cywilizacyjnych ma swoje uzasadnione racje, o tyle nałożone na sztukę – prowadzi do niezliczonych nadużyć i nieporozumień.

Teoria, zgodnie z którą sztuka dokonuje postępu dzięki wielkim artystom kroczącym w awangardzie, jest tylko mitem; spowodowała ona powstanie klik i grup nacisku, wraz z maszyną propagandową, bardzo przypominającą działalność partii politycznych czy frakcji kościelnych

wyznał w swojej *Autobiografii Intelktualnej*. Kiedy czytamy napisany w roku 1915 przez Kazimierza Malewicza manifest, uderza nas nie tyle podkreślana w każdym zdaniu nienawiść do wszelkiej tradycji, co absolutne przekonanie autora, że właśnie jego i tylko jego sztuka, dokona totalnej zmiany świadomości, rewolucyjnego skoku, na jaki ludzkość nie mogła się zdobyć od początku swojej cywilizacji. Tylekroć później ponawiany przez kolejne generacje rewolucyjny gest założycielski, kończy się jednak dość dziwacznie, by nie powiedzieć – groteskowo. 16 stycznia 2004 roku Orkiestra Symfoniczna BBC odegrała na antenie tejże rozgłośni utwór słynnego Johna Cage'a 4'33", polegający na niewykonaniu przez muzyków ani jednego dźwięku, słowem na... całkowitej ciszy. Donosząc o tym na pierwszej stronie „Gazeta Wyborcza”, zaznacza – nie bez znanstwa – że „stacja, by przeprowadzić relacje radiową, będzie musiała wyłączyć specjalne zabezpieczenia alarmowe, które reagują automatycznie, gdy na antenie zbyt długo panuje cisza...” Powstały w roku 1952 awangardowy utwór Cage'a, dostąpił w ten sposób nobilitacji i swoistego „uklasycznienia”, ponieważ – jak zaznaczyła wspomniana gazeta – „kompozycja nigdy nie była grana przez orkiestrę symfoniczną”.

Karl Popper, na wiele lat przed tym wykonaniem, którego nie mógł być już świadkiem, postawił następujące pytanie: „Jak możemy nieustannie wyprzedzać wszystkich innych?” I sam udzielił odpowiedzi – „ambicja napisania dzieła, które wyprzedzi naszą epokę, a najlepiej, żeby nie stało się zbyt szybko zrozumiałe – aby zaszokowało możliwie największej ludzi – nie ma nic wspólnego ze sztuką, nawet jeżeli wielu

krytyków kultywowało taką postawę i upowszechniało ją.” Ten, jedyny w swoim rodzaju manifest antyprogresywny, Popper uzupełnił jeszcze uwagą: „jest jednak oczywiste, że nieliczni artyści, którzy byli mistrzami nie tylko w swoich dziedzinach, lecz mieli także dar oryginalności, rzadko kiedy chcieli podążać za modą i nigdy nie starali się być twórcami nowych mód”. Na tle naszej ponowoczesnej czy też postmodernistycznej epoki, zdanie to posiada głęboką moc ożywczej prawdy, przywracając takim pojęciom jak sztuka czy artysta naturalną godność. Twórczość Macieja Świeszewskiego wyrasta z takiego właśnie przekonania.

Jaka awangarda?

Na fotografii wykonanej w roku 1974, młody artysta z Europy Środkowej patrzy w obiektyw aparatu, mając za sobą wieżowce Manhattanu. Podróż do centrum świata, a przynajmniej świata artystycznego, jakim był wówczas Nowy York, przyniosła Maciejowi Świeszewskiemu wiele ważnych doświadczeń, które zarejestrował zarówno w prowadzonym dzienniku, jak też dziesiątkach szkiców, rysunków i grafik. Są wśród nich także wieże Centrum Światowego Handlu – dziś będące symbolem starcia dżihadu z liberalną cywilizacją Zachodu. Amerykańska podróż, uzupełniona w następnych dekadach pobytami artysty w Londynie i Paryżu, nie zaowocowała wszakże fascynacją ówczesnymi awangardami, które – poczynając od lat sześćdziesiątych – niemal mechanicznie wyznaczały pole eksperymentów i poszukiwań nad Wisłą.

Świeszewski – niczym niespieszny przechodzień – uważnie rejestrował zmieniające się jak w kalejdoskopie style, kierunki, izmy, jednak żaden z nich – poczynając od dziedzictwa pop artu, action paintingu, informelu czy dokonania kolejnych mutacji Fluxusu – nie stał się mu bliski, czy estetycznie pociągający. Nie oznaczało to, bynajmniej, jakiegoś neoklasycznego upodobania do form przebrzmiałych i faktycznie wyczerpanych. Raczej nieufność wobec przerosu ideologii samego przekazu, nad jego treścią – coraz wyraźniej rugowaną poza refleksję twórców i krytyków. Szukając nowego, własnego języka, artysta znalazł go – jako punkt wyjścia – w sztuce najpełniej awangardowej, jednak rodzimego pochodzenia. Zupełnie jak w chasydzkiej opowieści: skarb znajdował się dosłownie na wyciągnięcie ręki, we własnym domu, tyle tylko, że aby go odkryć, należało wyruszyć w daleką podróż do odległych miast i z tamtej perspektywy, ujrzeć własną drogę i przeznaczenie. Bardzo ważnym wydaje się przy tym fakt, że zarówno Tadeusz Kantor, jak Józef Szajna – obaj w ogromnym stopniu odciśnili swoje piętno na początku drogi Świeszewskiego – przekraczali granice sztuki, tworząc swoje teatry wyobraźni jako dzieła totalne, bezwarunkowo podporządkowane integralnej, choć skrajnie subiektywnej wizji. *Replika* Szajny, podobnie jak *Umarła klasa* Kantora, stały się ikonami





współczesnej kultury, stanowiąc jedyne w swoim rodzaju przypowieści o tragicznym, pełnym napięć doświadczeniu XX wieku, w którym śmierć, destrukcja i przemoc stanowią motyw przewodni. Była to jednak awangarda wyrastająca z doświadczenia historii i za pomocą właściwych sobie środków – próbująca owo doświadczenie wyrazić i przezwyciężyć. W zderzeniu z wieloma nurtami zachodnimi, które programowo odcinały się od jakichkolwiek znaczeń wynikających z dramatu człowieka zanurzonego w czas i tyranie zbrodniczych utopii, ten rodzaj sztuki nosił w sobie bardzo wyraźne przesłanie: obrony człowieczeństwa w najbardziej podstawowym znaczeniu.

Zarówno *Klatka* jak *Umarta klasa* stanowią w twórczości Macieja Świeszewskiego wyraźny ślad podjęcia tej właśnie refleksji. Rzecz jasna, że odbiór tych prac, niesie ze sobą znacznie więcej treści, niż ustalenie ówczesnych fascynacji i wpływów, jakim artysta – nie ukrywając tego – ulegał. Pewne elementy figuratywne, będące później stałym zjawiskiem w obrazach, grafikach i rysunkach Świeszewskiego – mają swoje źródła w filozoficznej refleksji Brunona Schulza z jego *Traktatu o manekinach*. Rozważania o materii, jakie snuje w nim Ojciec, są przecież – w najdosłowniejszym sensie – próbą uchwycenia sensu istnienia w aspekcie Stwórcy – Boga, jak też każdego artysty, skazanego na nieustanną kreację.

Materia nie zna żartów – powiada Ojciec – jest ona zawsze pełna tragicznej powagi. Kto ośmiela się myśleć, że można igrzać z materią, że kształtować ją można dla żartu, że

żart nie wrasta w nią, nie wżera się natychmiast jak los, jak przeznaczenie?”

„Gwałtem narzucona forma”, „parodia”, a z drugiej strony – „cierpienie głuche” – te bieguny Schulzowskiej refleksji o materii, snute przez figurę Ojca na przykładzie manekinów właśnie – stanowią dla wyobraźni Świeszewskiego stały punkt odniesienia. Tę samą, właśnie „tragiczną powagę” podkreślał Tadeusz Kantor, zaznaczając, że w jego teatrze – „manekin ma stać się modelem dla żywego aktora”. Również postaci Szajny – by przypomnieć wstrząsającą *Replikę* – są „ukukłowane”, poruszając się na scenie-świecie, nieludzkim zrytmizowanym ruchem. Lalka manekin, lalka człowiek, „nadmarioneta” – jak nazywa ją za von Kleistem Gordon Craig – jest więc dla Świeszewskiego nie tyle obsesją pojęciową, ideą przekroczenia tego, co ludzkie i cielesne, co wehikułem, za pomocą którego usiłuje dotrzeć do mrocznych zakątków egzystencji, penetrowanych wyobraźnią. Marioneta – sugerując przez swoje podobieństwo ludzkie istnienie – jest przecież tylko nieudaną kopią, tworem chwilowym, pustą we wnętrzu formą, za którą nie ukrywa się już nic. Podejrzanie, że cały nasz byt jest tego rodzaju kaprysem materii, powołanym nie wiadomo dla czego, na krótki moment spektaklu, reżyserowanym przez nieznanego kuglarza, jest jednym z obsesyjnych motywów Świeszewskiego. Embrion zwiastujący narodziny, niewykłła, szaleńcza żywotność materii objawiona w niezliczonej rozrzutności form, wreszcie rozkład i rozpad określany eufemistycznie śmiercią – oto stale, kompozycyjne elementy

” Tak, mogło się to wydarzyć przy odrobinie szczęścia, ale my nigdy nie mieliśmy szczęścia, my wszyscy przez te lata.

Paweł Huelle, *Opowiadania na czas przeprowadzki*



tej twórczości. Czy w *Kuszeniu św. Antoniego*, czy w wielu wariantach *Ukrzyżowania* mamy do czynienia z tą samą, w istocie metafizyczną medytacją. Jej źródła przekraczają, rzecz jasna, horyzont problemów i pytań, związanych z estetycznymi dylematami współczesności. Dla gnostyka bowiem – a jest nim Maciej Świeszewski niewątpliwie – strumień czasu stanowi inny, głębszy rodzaj doświadczenia.

Kontrapunkt i Syzyf

Bez względu na różnice technik i formatów, już pierwszy kontakt z pracami Macieja Świeszewskiego pozwala wyodrębnić wśród nich dwa, zasadniczo różne sposoby kompozycji. W jednym (np. *Statek szaleńców*, *Umarła klasa*) doświadczamy niezwyklej mnogości postaci, których istnienie – jak gdyby stłoczone i pomnożone – nawiązuje do wielkich tradycji Boscha. W drugim (*Ukrzyżowanie* czy *Syzyf*) artysta skupia się na jednej, symbolicznej postaci, potraktowanej z silną, dynamiczną ekspresją. Pisząc o twórczości Świeszewskiego, Krzysztof Stanisławski wspominał o tradycji symbolizmu,

rozumianego jednak nie jako konkretny kierunek czy styl w historii sztuki XIX wieku, ale szersza kategoria estetyczna, rozwijająca się od czasów Boscha, Bruegelów, poprzez manieryzm, romantyzm, secesję (...) aż po Linkego, Wróblewskiego i Beksińskiego...

Istotnie, gdyby skatalogować toposy i motywy Świeszewskiego, przedstawiona tu lista mogłaby być jeszcze dłuższa, świadcząc o tym, że czerpanie z tradycji i dialog z przeszłością nie muszą wcale ograniczać, ani hamować własnego indywidualnego stylu. Przeciwnie: inspirują i wzbogacają go w stopniu niezwyklej i niepowtarzalnym. Warto jednak zaznaczyć, zwłaszcza przy odwołaniach do Boscha, że kompozycyjna struktura rysunków przypomina w dużym stopniu muzyczną strukturę – raz utworu o jednej, wyrazistej linii melodycznej, napisanego na instrument solo, innym znów razem dzieła polifonicznego, w którym zastosowana zostaje technika kontrapunktu. Tę ostatnią – przeniesioną z muzyki na grunt literatury, próbował się

posługiwać się Tomasz Mann w *Czarodziejskiej Górze*, wyznając, iż „zestrojenie tematów, ich wzajemne przenikanie się, było doświadczeniem trudnym, ale fascynującym”. W kompozycji malarskiej jest to zapewne równie trudne, ale chyba nie tak jak w powieści, której odbiór rozłożony jest z konieczności w czasie. Gdy oglądamy *Umarłą klasę* czy *Kuszenie świętego Antoniego*, możemy odnieść wrażenie, że właśnie filozofia kontrapunktu, polegająca – w muzyce – na równoczesnym zestawieniu kilku linii melodycznych wedle określonej, przyjętej zasady – jest dla tych obrazów pewną wewnętrzną, logicznie spójną organizacją motywów, dzięki której natłok postaci nie przeradza się w chaos, ale staje się konstrukcją wyższego rzędu. Przynosi to nowe znaczenie, nie wynikające z prostego sumowania zjawisk, lecz ich równoczesności, co – przykładowo – w aspekcie powstania ruchu (embrion) i jego rozkładu (truchło), przedstawia nam jego obraz nie w prostym, linearnym porządku, ale jako postrzeganą w jednym momencie syntezę. Można by tutaj, raz jeszcze, odwołać się do teatru Kantora: jego głęboko muzycznej struktury, równoczesności i powtarzalności pewnych gestów scenicznych, ale warto przywołać refleksję Paula Ricouera, który w „Symbolice zła” stwierdza, że „tragiczna wizja świata związana jest z widowiskiem, a nie spekulacją”. Ten właśnie element zdaje się wydobywać w swoich kontrapunktycznych kompozycjach Maciej Świeszewskiego: za chwilę scenę wypełni mrok, ten sam, który rozpościł się nad nią przed rozpoczęciem spektaklu. Nieco inaczej artysta komentuje dramat istnienia w kompozycjach z jedną postacią. To Syzyf uginający się pod ciężarem planety. Ukrzyżowany innym znów razem po prostu Człowiek – wypętlający na świat z kosmicznego jaja, lub ogarniający symboliczną przestrzeń kosmosu. We wszystkich tych motywach, oprócz wrażenia niezwyklej napięcia, fizycznego bólu, przerażenia, dzielimy z każdą z tych postaci dojmujące poczucie osamotnienia. Rzecz rozgrywa się wpustce, bez dekoracji – i w przeciwieństwie do kompozycji wielopostaciowych – sugeruje zupełną ciszę, z której dopiero po chwili rozwinię się jednogłosowa pieśń. Tak odzywa się „cierpienie głuche”, wieczna skarga materii, lustro w którym widzimy następne lustro i następne...

Paweł Huelle

” Stara prawda Platona – że to, co piękne, powinno być także dobre – została w Europie wyśmiana setki razy, jakkolwiek ożywcza siła tej idei ratuje Europę zawsze, ilekroć nadejdą barbarzyńcy.

Paweł Huelle, *Ulica Świętego Ducha i inne historie*



Maciej Świeszewski, *Matnia wieczera* fragment panoramy, Paweł Huelle

Pamięć i czas

Wojciech Futek

Pamięć jest kluczowym pojęciem każdej kultury. Wszystko co tworzymy, z czym obcujemy, zawiera się w pamięci.

Paweł Huelle

Mit, legenda, tajemnica, symbolika, nauka i lekcja, związane z niezwykłym wydarzeniem, które nazwane zostało „ostatnią wieczerzą”, choć przecież zawieszone na niezwykle cienkiej nici wiary, od wielu lat budują religijne przesłanie dla kolejnych pokoleń. Może zatem to właśnie okruciny ludzkiej pamięci ocaliły z niebytu ostatnie spotkanie Jezusa ze swoimi uczniami i pozwoliły – dzięki ewangelicznym opisom – nadać mu realny, historyczny i jednocześnie mistyczny wymiar?

Pamięć jest podobno najlepszym strażnikiem ludzkiej tożsamości. Ale czy na pewno nasze wspomnienia, przenoszone w czasie, to ten najbardziej właściwy kod do

zrozumienia specyficznej relacji człowieka z Bogiem? Bo przecież prawdziwa wiara nie wymaga żadnych fizycznych, namacalnych dowodów. Zwłaszcza, kiedy uwierzmy, że niczym nieograniczona i nieskończona, a jednocześnie tak ulotna i zawodna ludzka pamięć jest w stanie przewyżżyć upływający czas, który nadaje ludzkiemu istnieniu właściwy sens i odpowiednią perspektywę.

Czy wiara potrzebuje jeszcze w dzisiejszych czasach sztuki i artystów? Czy artysta powinien się jeszcze – po tylu dotychczasowych próbach – mierzyć z mitem i legendą, proponując nowe, autorskie odczytanie tego mitu? I czy to nowe przesłanie pozostanie – w dobie „sekundowej”

kultury masowej – z nami na dłużej, niż premierowa odsto-
na obrazu? „Ostatnia wieczerza” Macieja Świeszewskiego
nie jest ani pierwszą, ani ostatnią autorską interpretacją
monumentalnego malowidła ściennego (nie jest to bowiem
klasyczny fresk, jak się powszechnie uważa) Leonarda da
Vinci, który pozostawił je następnym pokoleniom na ścianie
refektarza mediolańskiej bazyliki. Przed Świeszewskim
takiej konfrontacji z opowieścią o paschalnej wieczerzy
Jezusa z apostołami w przeddzień jego aresztowania, pod-
dawali się już m.in. Jacek Malczewski, Salvador Dali czy
Andy Warhol.

Każdy mit ma swoje tajemnice, więc zarówno wokół same-
go zdarzenia, szczegółowo przecież opisywanego w każdej
z ewangelii (choć w niektórych szczegółach te opisy nie-
co się jednak różnią), na którym zapowiedziano zdradę
Judasza, jak i obrazu ze ściany refektarza (często uważa-
nego za największe – obok *Mony Lisy* – dzieło włoskiego ge-
niusza), narodziło sporo nieporozumień, a tajemnice, ukryte
przez malarza na jego dziele, stały się nawet bezpośrednią
inspiracją dla niezwykle popularnej książki *Kod Leonarda da
Vinci* Dana Browna i filmu na niej opartego oraz rozmaitych
teorii spiskowych, które zaczęły żyć własnym życiem. 
Wszystko zawiera się w pamięci – jak napisał kiedyś
Paweł Huelle, uwieczniony na obrazie Świeszewskiego –
mimo że przecież ludzka pamięć bywa zawodna i jest
tak samo krucha, jak każdy człowiek. Bo to pamięć

Świeszewski.  Dotyka ona spraw uniwersalnych, bo jeśli we
współczesnej cywilizacji zachłanności, pazerności, fałszu
Bóg istnieje, to jest samotny i daleki.”

Czy właśnie dlatego Jezus na obrazie Świeszewskiego jest
jeszcze bardziej samotny i oddalony od swoich uczniów, niż
ten namalowany ponad pięćset lat wcześniej w Mediolanie?
Czy dlatego wydaje się tym bardziej boski, im bardziej jest
dojmująco i boleśnie ludzki? Czy jego ostateczna przemiana
– z Syna Bożego w śmiertelnego człowieka – jest niezbędnym
elementem, dopełniającym przesłanie obrazu?

Ostatnia Wieczerza – nie tylko ta autorska  Świeszewskiego,
ale chyba każda jej wizja – stawia jeszcze więcej pytań i nie
przynosi żadnych satysfakcjonujących, jednoznacznych
odpowiedzi. Nie rozstrzyga wątpliwości ani nie daje nawet
nadziei na rozwiązanie ukrytej tajemnicy. Każdy odbiorca
 musi w takiej sytuacji na własną rękę szukać swojej
drogi na rozszyfrowanie ukrytych w niej znaczeń i symboli.
Zresztą – jak się wydaje – chyba nawet ważniejszy jest sam
proces tego poszukiwania, niż jego ostateczne rezultaty.
Oraz upływający czas, który coraz bardziej oddala nas od
przeszłości, kierując nieuchronnie w stronę dalekiej linii
horyzontu.

Co zatem łączy i przenosi przez kolejne pokolenia prawdę
i fałsz, grzech i odkupienie, przeszłość i przyszłość, mil-
czenie i zgiełk, wiarę i samotność, zbrodnię i karę, sacrum
i profanum? Co jest tym prawdziwym spoiwem łączącym



Maciej Świeszewski *Ostatnia wieczerza* fragment panoramy

  
przenosi teraźniejszość w sferę nieśmiertelności, mitu
i legendy. To pamięć przenosi upływające sekundy, minuty
i godziny w stronę nieskończoności. To pamięć skazuje na
zapomnienie niektóre wydarzenia, aby inne ocalić i uwiecz-
nić. To właśnie ta nietrwała ludzka pamięć – paradoksal-
nie – utrwała, kolekcjonuje, ustala hierarchię ważności
i wynosi na pomniki. Ale też i zniekształca, deformuje,
fałszuje i przykrywa piachem niepamięci. Ale bez niej czym
byłby człowiek? A Bóg, który bez ludzkiej pamięci skazany
byłby na niebyt?

„Namalowałem własną wersję *Ostatniej Wieczerzy* jako
rezultat moich duchowych poszukiwań, rozterek, wąt-
pliwości – wyjaśniał po powstaniu swojego dzieła Maciej

misterium chleba i wina, Ciała i Krwi? Co połączyło już
na wieki  i poświęcenie, wiarę, nadzieję i miłość?
Czyli właśnie to wszystko, co możemy odczytać z tak
wyjątkowych obrazów, jak *Ostatnia wieczerza* Macieja
Świeszewskiego? 

Tak, miał rację Paweł Huelle – jest tylko jedno wytłuma-
czenie tego fenomenu i tajemnicy prawdziwej sztuki. To
właśnie ta ulotna, zwiwna, nieporadna Pamięć, która ma
dar ocalania – światów i ludzi. Ale nade wszystko – Boga
i jego boskiej samotności. Ale do tego Pamięci niezbędny
jest czas, którego człowiekowi na  ściej brakuje, a Bóg
posiada go za to – w swej taskawej nieskończoności – za-
wsze w nadmiarze.

Wojciech Futek



WSPOLNOTA
GDANSKA



OLIWSKI
RATUSZ
KULTURY



NOWY WARZYWNIAK
GALERIA SZTUKI



SCENA
RATUSZOWA



OLIWSKI
DOM SĄSIEDZKI



GDANSKA
PLENEROWA
GALERIA RZEZBY



VIVA
OLIVA



OLIWSKIE
ŚWIĘTO KSIĄZKI



WIGILIA
OLIWSKA



AKADEMIA
GDANSKICH
LWIĄTEK



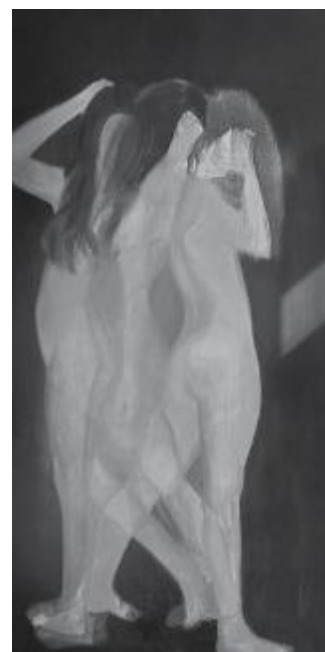
GDANSKA
AKADEMIA
PRZEDSZKOLAKÓW

nowoczesna
firma
wrażliwa
społecznie



MECENAS SZTUKI PRZYJACIEL ARTYSTÓW

wsparcie dla artystów
wsparcie dla NGO
kolekcja
wystawy
debaty



www.aste.pl | www.wspolnotagdanska.pl

The logo is enclosed in a square frame composed of four thick black lines. The top and bottom lines are slightly slanted, while the left and right lines are vertical.

ERGO
HESTIA®

mecenas kultury

Stow

Pomorski Magazyn Artystyczny

100
1926 GDYNIA 2026

3-4/2025/2026

ISSN 2956-3739



9 772956 373200